



ORGAN POLSKIEGO TOWARZYSTWA KRAJOZNAWCZEGO
KRAJOZNAWCZY DWUTYGODNIK ILUSTROWANY

POLECONY PRZEZ MINISTERSTWO W. R. i O. P.

STANISŁAW LESZCZYCKI.

WALORY TURYSTYCZNE WOJ. KRAKOWSKIEGO.

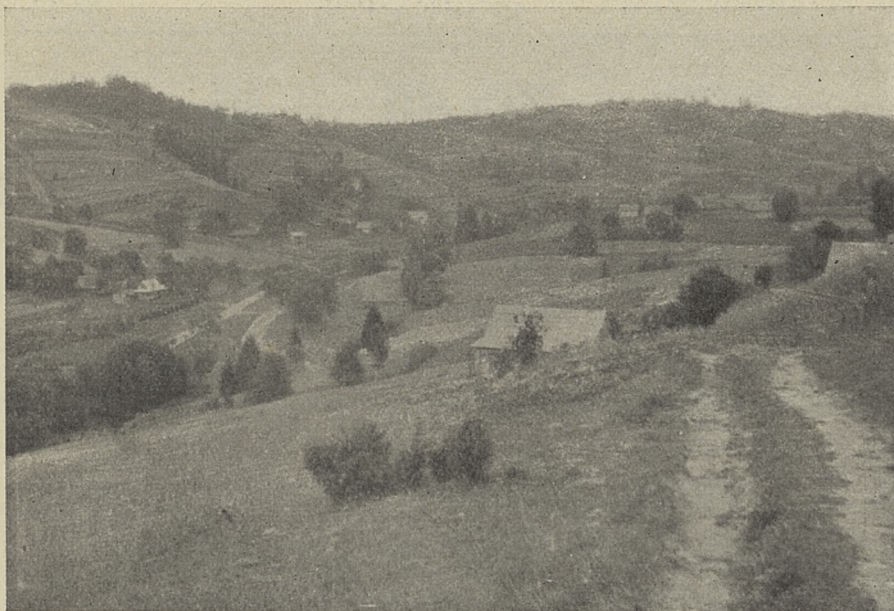
Ziemia krakowska posiada największe walory turystyczne z ziem całej Polski, tu bowiem obok bardzo urozmaiconego, a pięknego krajobrazu, rozsypanych jest tysiące zabytków historycznych, artystycznych, związanych z dziejami Polski Piastowskiej i Jagiellońskiej. To jest właściwą cechą charakterystyczną krajobrazu, że tworzy go bogata mozaika zabytków artystycznych, ściśle związanych z podłożem przyrodniczym. Nic więc dziwnego, iż ziemie te ściągają ze wszech stron Polski rzesze zwiedzających, a trzy największe „skarby turystyczne”, jakimi są Tatry, Pieniny i Kraków, słyną na całą Europę.

W granicach województwa ujęta jest przepiękna kolekcja najróżnorodniejszych krajobrazów, wynikająca z ich budowy geologicznej. Pasowość równoleżnikowa poszczególnych krain nadaje im cech harmonijnej całości. Północna granica w części zachodniej wkracza na wyżynę krakowsko-wieluńską, zbudowaną ze skalistego wapienia, tworzącą płytę lekko na wschód opadającą. Próg południowy płyty rozcięty został drobnymi potokami, które dzięki zapadnięciu się rowu wiślanego, bardzo intensywnie poczęły się wcinać, erodując wstecz, tworząc tem samem wspaniałe wąwozy, ulubione miejsca wycieczek mieszkańców Krakowa. Z tych najpiękniejszą jest dolina Będkówki, Prądnika, Kluczwody i Eljaszówki. Krawędź zachodnia również została intensywnie nagryzioną, lecz ponieważ potoki nie miały tak silnie obniżonej bazy erozyjnej, nie wytworzyły się wąwozy, lecz niszczenie odbyło się powierzchniowo, próg cofnął się na wschód, pozostawiając liczne ostańce wapienne, świadki dawnej krawędzi wyżyny.

Północną granicę województwa wyznacza Wisła. W ubiegłych wiekach kiedy niosła kolosalne ilości wody, wykorzystawsza obniżenie tektoniczne pod Karpatami, wytworzyła nizinę nadwiślańską, zasypując ją swemi eluwiami. Nizina niegdyś była pokryta puszcza, ślad został koło Niepołomic. Pokłady ilów i glin czyniły ją mało przepuszczalną, pozostały więc stawy i mokradła wzdłuż części górnego jej biegu.

Na niej nad Wisłą założony został prastary gród Krakowa na terasie wapiennej 80 do 40 m. nad poziom rzeki. Powstanie swe Kraków zawdzięcza zbiegowi linii komunikacyjnych pierwotnych, jest więc typowym przykładem miasta pomostowego (w ścisłym określeniu Wisły, w ogólnym Karpat i Wyżyny Małopolskiej).

Od południa nizinę nadwiślańską ogranicza podgórze karpackie, wyraźnym progiem dobrze zachowanym (\pm 100 m. wysokim). Pogórze tworzy trzeci z kolei pas równoleż-



Ryc. 157. Widok ogólny na dolinę Raby w partji źródłowej koło Sieniawy. Fot. St. Leszczycki.

sokości względnej. Próg przynależy do czwartego pasa gór wyspowych Beskidu Zachodniego, rozpadających się na trzy odmienne części. Najbardziej na zachód wysunięty Beskid Mały między Białą a Skawą, mający szereg gór izolowanych, z których najwyższymi są: Magórka (813 m.), Czysownik (893 m.), Leskowiec (922 m.). Wielkie kompleksy leśne, wybitnie sianokośne łąki, znaczne wyniesienia względne, czynią go już górskim terenem turystycznym.

Od wschodu przylega doń Beskid Wyspowy Myślenicko-Limanowski, podobny w budowie i krajobrazie, lecz znacznie piękniejszy i dzikszy. Tu wymienić należy prawie zupełnie niezwykłe szczyty: Ćwilinu (1060 m.), Śnieżnicy (1006 m.), Mogielnicy (1171 m.), Kotunia (846 m.) i wielu innych, posiadających wspaniałe rozległe widoki. Dalej na wschód wyklinaują się góry wyspowe, pasma ciągną się równoleżnikowo, niepostrzeżenie przechodząc we właściwy Beskid Sądecki.



Ryc. 158.

Widok ogólny Mszany Dolnej, z tyłu masyw Ćwilinu.

Fot. St. Leszczycki.

nikowy, lekko sfalowany, mimo bardzo urozmaiconej sieci rzecznej. Ma ono charakter krajobrazu wybitnie kulturowy, pola uprawne zajmują prawie całą powierzchnię, tylko kępy lasu świadczą o pierwotnej tu puszczy.

Dalej na południe natrafia się na drugi próg t. zw. karpacki, też lokalnie wyraźny o podobnej wy-

Znów równoległe jako piąty pas ciągnie się potężny łańcuch Karpat, wypełniający południową część województwa. I w nim da się wyróżnić kilka odrębnych grup o różnym położeniu i krajobrazie. Najbardziej na zachód wysuniętą jest grupa Beskidu Śląskiego ze szczytami: Baraniej Góry 1214 m., z której stoków bierze swój początek Wisła, Skrzyczne, Czartorja, Stożek i t. d. Góry rozrzucone w nieregularnem gnieździe, pokryte są jednolitym płaszczem borów szpilkowych, wysoka kultura drzewostanu, dogodne ścieżki myśliwsko-turystyczne nadają im swoisty charakter.

Od południa przypiera do nich malownicza, najdziksza grupa Wielkiej Raczy. Olbrzymie lasy, dzikie pustkowia bezdrożne, hale wysokogórskie nadają im charakterystyczne piętno, znajdzie w nich ukojenie ten, kto szuka pustki, odludzia i nietkniętej ręką ludzką przyrody. Od tej na wschód wznoszą się potężne masywy Pilska i Babiej

Góry, wzniesionych ponad 1500 m., ponad naturalną górną granicę lasu. Szczyty ich zdobi rumowisko skalne, puste i martwe. Ta część Beskidu Zachodniego jest najbardziej znaną i popularną, najwięcej tu ciągnie wycieczek, najwięcej poświęca się im miejsca w literaturze, muszą więc na to zasługiwać i być godne zwiedzenia.



Ryc. 159.

Widok z Kasinki Małej na szczyt Lubogoszca.

Fot. St. Leszczycki.



Ryc. 160.

Szczyt Gorców-Turbacz 1311 m.

Fot. St. Leszczycki.

Dolina Ra-
by oddziela na-
stępne gniazdo
górskie potężną
rozgwieżdżoną Gor-
ców, sięgającą
na wschód aż po
Dunajec. Gorce
odznaczając się
łagodnością sto-
ków, grzbietów,
las porozdziela-
ne łąkami siano-
kośnemi nie ma-
ją cech dzikości.
Łagodne stoki,
rozległe hale
sprawiają, iż kra-
jobraz ich jest
miły, ukaja i u-
spakaja.



Ryc. 161.

Widok z progu Pogórza Karpackiego na Nizinę Nadwiślańską.
W dali pas puszczy niepołomicki.

Fot. St. Leszczycki.

Za cudnym przełomem Dunajca przez pasmo skalic pienińskich ciągną się Beskidy Sądecko-Krynickie z Prehybą, Radziejową i Jaworzyną, znów o odmiennym charakterze krajobrazu, w którym las dominującą odrywa rolę.

Cechą charakterystyczną Karpat Zachodnich są kotliny śródgórskie, z nich trzy znajdują się w obrębie wojew. krakowskiego: potężna, borem niegdyś pokryta kotlina podhalańska (nowotarska) i dwie mniejsze żywiecka i nowosądecka.

Największymi ozdobami krajobrazu jest granitowy łańcuch turni tatrzańskich i wspinały przełom Dunajca przez Pieniny. Oba te cudowne zakątki natury zamienia się na parki narodowe, los ich więc jest na długo zabezpieczony, są zaś umiłowane, pielęgnowane, a przedewszystkiem znane ogółowi społeczeństwa.

Na tym to obszarze znajduje się kilka pierwszorzędných zdrojowisk: Krynica, Szczawnica, Rabka, Głębokie i t. d., dziesiątki stacyj klimatycznych, setki miejscowości letniskowych.

Do tego dochodzi kolosalny zbiór zabytków historycznych, ruin, zamków i pałaców jest przeszło 60 (Balice, Baranów, Barwałd, Białoboki, Biecz, Bobrek, Chrostowa, Czchów, Dąbrowa, Dobrzyce, Głębowice, Głogów, Goleś, Gorajowice, Gorzyce, Grójec, Jeżów, Kołaczyce, Kraków, Krosno, Lanckorona, Lipowiec, Makowica, Marcinkowice, Maszkowice, Melsztyn, Mielec, Młoszowa, Morawica, Muszyna, Myślenice, Niepołomice, Nowy Sącz, Odrzykoń, Olesno, Osiek, Oświęcim, Różnów, Rytro, Rzemień, Rzeszów, Skawina, Stary Sącz, Sucha, Szaflary, Szczyrzyc, Szymbark, Tarnów, Tenczynek, Trobszyn, Trzeblin, Tyniec, Wieliczka, Wieruszyc, Wiśnicz, Wolica, Wytrzyszczka, Zagórz, Zameczek św. Kingi, Zator, Zawada, Zborów (nie licząc zamków na północ od Krakowa).

Wyliczyć można koło 40-tu starych kościołów drewnianych, setki kościołów stylo-
wych od romańskich, gotyckich poczynając aż do współczesnych zmodernizowanych,
tysiące pomników, nagrobków, krzyży, kaplic przydrożnych, miejsc historycznych i t. d.,
i t. d., może więc każdy znaleźć swe upodobanie.

Pozatem są dobre urządzenia turystyczne dzięki staraniom Pol. Tow. Krajoznawczego i Pol. Tow. Tatrzańskiego i bardzo ułatwiona orjentacja wędrówek dzięki doskonałym przewodnikom Orłowicza, Sosnowskiego, Bąkowskiego i Midowicza. Każda gałąź turystyki znaleźć może swe pole do popisu.

Automobilista i motocyklista ma kilka pierwszorzędných szos, dających mu przepiękne rozległe widoki i emocję jazdy, są to drogi: 1) Kraków — Zakopane — Morskie Oko, 2) Andrychów — Kocierz — Żywiec, przełom Soły — Kępy, 3) Grybów — Krynica, 4) Myślenice — Limanowa — Nowy Sącz — Krynica. Wioślarz (kajakowiec) ma pierwszorzędny przejazd Dunajcem od Nowego Targu — Pienicy — Krościenko — Nowy Sącz — Czchów — Tarnów, emocjonujące jazdy: Rabą od Myślenic, Sołą od Żywca, Wisłą od Kaniowa. Gęsta sieć dróg umożliwia kolarzowi dostanie się do wszystkich prawie zakątków. Piechór jednak czuć się będzie najlepiej w górach, przez nie wędrować może wygodniami wśród borów, hal i gruchowisk skalnych. Taternik ma swe spinaczki w Tatrach.

Wszyscy mogą więc znaleźć swe zadowolenie, mimo iż wyznają swą turystykę rozmaicie, jednak piękno krajobrazu, wypoczynek na łonie przyrody, zmiana środowiska, to fundamentalne podstawy wspólnej ideologii, dającej tyle siły do znoszenia znojów i trudów wędrówki. Warto więc poświęcić czas i fundusze na zapoznanie się z tak piękną częścią kraju i najpierw zobaczyć swe strony zanim się wrażeń estetycznych pocznie szukać u obcych — zagranicą.

JAN MANUGIEWICZ.

„OGNISKO KSIĘŻACKIE”.

Przed półtora rokiem z inicjatywy Warszawskiego Wojewódzkiego Komitetu Regionalnego zostało ukonstytuowane Towarzystwo Ogniska Książackiego Kultury, Sztuki i Przemysłu Ludowego, jak brzmi, barokowy nieco, tytuł tej instytucji. Ognisko powołane zostało do zaopiekowania się ginącą kulturą ludową ziemi łowickiej i do uchronienia jej przed niwelującym wpływem miejskich oddziaływań cywilizacyjnych. Siedzibę instytucja uzyskała w ośrodku rozparcelowanego majątku państwowego Żłaków Kościelny w powiecie łowickim. Najpilniejszym zadaniem instytucji było prowadzenie szczegółowych studiów nad kulturą duchową, społeczną i materialną miejscowej ludności oraz utworzenie muzeum regionalnego celem zgromadzenia zabytków etnograficznych z tego terenu. Prócz tej działalności o charakterze konserwatorsko-rejestracyjnym zadaniem Towarzystwa było również utworzenie muzeum ludoznawczego o typie panoptikalnym, odpowiadającym np. szwedzkiemu Skansenowi, tylko na miarę nieporównanie skromniejszą. Działalność konserwatorka instytucji miała się dalej przejawiać uświadamianiem miejscowej ludności o powszechnem zainteresowaniu tym pełnym wyrazu zakątkiem kraju, aby w ten sposób przyczynić się do powstrzymania pędu ku przyjmowaniu miejskiej odzieży, budownictwa, i innych elementów kosmopolityzmu miejskiego przez młodsze pokolenie, kierowane wstydem w zarzuceniu zewnętrznych oznak różnic społecznych.

Obok tych zadań o charakterze kulturalnym miało Ognisko ująć w swe ręce pracę nad udoskonaleniem przemysłu ludowego, jego racjonalizację i podniesienie produkcji. Miano w ten sposób przysporzyć dodatkowego zarobku w zimowych miesiącach ludności małorolnej. Oczywiście Ognisko gwarantowałoby oryginalność wzorów ludowej produkcji przemysłowej i zdołałoby uchronić ją przed degenerującym naśladowaniem wyrobów

prywatnych zakładów tkackich w Łowiczu, produkujących nieestetyczne wzory pseudo-ludowe.

Tak zakreślona działalność instytucji rozwijająca oba działy swych zadań kulturalno-gospodarczych nadawać jej winna podstawy trwałości, skoro instytucje o charakterze czysto kulturalnym nie cieszą się poparciem samorządów ziemskich. Ognisko Księżackie stanowiłoby placówkę próbną, której doświadczenie mogłoby posłużyć do organizowania sieci analogicznych zakładów na całym obszarze kraju. Aliści półtoraroczny niespełna byt instytucji dał wiele bardzo przykrych rezultatów. Świadczą one tak wymownie o wadliwości jej podstaw ustrojowych, że jedynym sposobem uratowania dalszego bytu placówki, staje się gruntowna ich zmiana.

Jakież to są owe niedomagania? Ażeby odpowiedź uczynić pełniejszą, pozwolę sobie scharakteryzować działalność instytucji pokrewnego rodzaju. Mam na myśli towarzystwa popierania przemysłu ludowego, bowiem podobieństwo ich losów z dotychczasowymi losami „Ogniska Księżackiego” jest uderzające. Czynię to zaś dlatego, ponieważ instytucje te jako liczniejsze znane są bliżej szerszemu gronu osób. Jest ich u nas około dziesiątka, 2 czy 3 rozwijają jako tako owocną działalność — reszta istnieje tylko nominalnie. Te ostatnie cały swój wysiłek tracą na wewnętrzne prace organizacyjne, nie dając żadnych praktycznych korzyści gospodarstwu narodowemu. Wszystkie one grupują ludzi dobrej woli, zwykle pełnych zapału dla spraw powierzonych ich pieczy, natomiast najczęściej pozbawionych fachowych wiadomości i nie doceniających rzeczowych dorad nielicznej garstki osób chętnie służących swoją znajomością przedmiotowi. Tam gdzie instytucja posiada płatne kierownictwo należycie przygotowane do tej bądź co bądź oryginalnej pracy, kierownictwo obdarzone łatwością orjentowania się zarówno w kulturalnej stronie zagadnienia jak i gospodarczej, tam ma ona dane do rozwoju. Atoli musi istnieć jeszcze jeden po temu warunek, zarząd instytucji musi bądź całkowicie zdawać się na inicjatywę kierownika, doceniając jego kompetencję, bądź też, co w naszych warunkach nie jest rzadkością, odznaczać się pełnią bierności. Jedynie wówczas liczyć można na ustalenie i konsekwentne przeprowadzenie programu prac. Gdzie tego nie ma — kierownik zasypywany jest lawiną pomysłów niedorzecznych, nie liczących się ze swoją strukturą wytwórczą i komercyjną przemysłu ludowego, lub też nie zgodnych z przewodnią ideą towarzystw, którą jest oparcie przemysłu ludowego o miejscowe, tradycyjne podstawy etniczne. Pochodzi to stąd, że zainteresowanie kulturą ludową i ludowym przemysłem jest zwykle bardzo żywe, łączy ono w odpowiednich zrzeszeniach ludzi różnorodnych zawodów, najpospoliciej prowincjonalnych działaczy samorządowych lub osoby owładnięte zainteresowaniami artystycznymi. Stąd zebrania zarządów są zwykle bardzo ożywione, ale przebieg dyskusji jest rozstrzelony i mało treściwy, a członkowie organizacji z pełnią przekonania walczą o przyjęcie ich stanowiska. Wolne są od tych ujemnych stron działalności inne zrzeszenia prowincjonalne, przedewszystkiem zaś zrzeszenia spółdzielcze i zawodowe. Mają one tok obrad bardziej rzeczowy, bowiem ogniskują ludzi tego samego zawodu i mają ograniczony zakres zainteresowań, wszelkie zaś dyletanckie pomysły upadają w ogniu ostrej krytyki, kierowanej interesem materialnym samych zrzeszonych. Niema tego w towarzystwach przemysłu ludowego, stąd większa tu swoboda dla poczynąń nie hamowanych potrzebną odpowiedzialnością.

Rodzi się pytanie: czy jest właściwe powierzanie znacznych zasiłków państwowych organizacjom, które poza tem żadnych środków na swą działalność nie starają się skądinąd zdobyć, a ich członkowie, zajmując się sprawami instytucji dorywczo, powierzone im zadanie muszą traktować po macoszemu.

Tak dzieje się w towarzystwach popierania przemysłu ludowego, gdzie zakres przed-

miotu jest (a przynajmniej być powinien) ograniczony przede wszystkim do kwestyj gospodarczych tego przemysłu, a cóż dopiero mówić o instytucjach pokrewnych typem, ale mających bardziej rozległe zadanie jak omawiane „Ognisko Księżackie”. Wymagają one znacznie mniej ambicji jednostkowych w łonie organizacji, a natomiast o wiele więcej inteligencji i delikatności, a przede wszystkim nie tylko przypadkowego zetknięcia się z pracą, lecz trwałego do niej stosunku uczuciowego. Jedynie przy zachowaniu tych warunków może być mowa o harmonijnem współżyciu z ludnością wiejską i wyrobienia pośród niej zrozumienia dla zadań programowych instytucji. Stanowi to nieodzowny warunek dla osiągnięcia pozytywnych rezultatów rozpoczynanej pracy.

Wszystkich tych zasadniczych warunków obecny zespół władający instytucją nie spełnia. Przegląd prac Ogniska na rok ubiegły, poza kilku wyjątkami, których żadną miarą nie można policzyć za zasługę zarządu, przedstawia cały łańcuch poczynąń wprost niepoważnych. Owoc to stałej ignorancji fachowych rad i wskazań, datujący się od narodzin „Ogniska”. Zebrania walne i zebrania zarządu wykazują poziom obrad dosyć niski, i to nie z winy członków włościan. Dość przysłuchać się jednemu z owych zebrań, aby z całą plastyką przypomniały się staro-galicyjskie obrazki Lama. Nadomiar złego ostatnie czasy przyniosły szereg wypadków wyraźnej dysharmonii między pełnym zapałem i poświęcenia kierownictwem, a władzami instytucji na tle znamiennej zarzucania przewodnich idei Towarzystwa. Stało się praktyką codzienną łamanie starannego planu prac kierownictwa Ogniska i dorywcze podstawianie na jego miejsce przez Zarząd decyzji nieprzemyślanych. Na tem również tle powstały nawet gorszące w instytucji tego rodzaju wystąpienia, niepozbawione wyraźnych cech intrygi dla dogodzenia podrażnionej ambicji urażonych jednostek. Są to przykre zjawiska, dość zwykłe zresztą niestety w życiu stowarzyszeń prowincjonalnych, zawierają przeto, czego obawiać się należy, wszelkie prognozy trwałości. Trzeba jednak pamiętać, że „Ognisko Księżackie” ma być placówką doświadczalną i dbać należy, aby negatywne wyniki jego działalności nie miały dla odpowiednich czynników wagi miarodajnego doświadczenia i nie zdyskredytowały całkowicie myśli szerszego naśladownictwa tej pierwszej próby.

Dalsze niekonsekwentne upieranie się przy zachowaniu dotychczasowego ustroju organizacji pogrzebie ją z wszelką pewnością i przekreśli niewątpliwą dobrą wolę i zasługi organizatorów.

Z wytworzonej sytuacji widzę tylko dwa wyjścia. Jedno to likwidacja dotychczasowego „Towarzystwa Ogniska Księżackiego”, a powołanie na jego miejsce „Towarzystwa Przyjaciół Ogniska” o jednym statutowem zadaniu: troszczenia się o rozszerzenie jego podstaw finansowych. Sam zarząd Ogniskiem należałoby oddać Warszawskiemu Wojewódzkiemu Komitetowi Regionalnemu, który ze swej strony winien pozostawić najszerszą swobodę działania i pełnię odpowiedzialności kierownikowi. Nowe stowarzyszenie pozwoliłoby gronu zamożnych osób, wchodzących w skład obecnego zarządu, szerokie do przejawienia swej prawdziwej wartości społecznej drogą ulżenia finansowej doli instytucji, czego śnać pochłonięte silnie akcentowaną dążnością wyłącznego decydowania o zużytkowaniu sum zasiłkowych dotychczas uczynić nie zdołały. Jest jeszcze inna odmiana tego projektu, mianowicie powierzenie na drodze umownej prowadzenia Ogniska instytucji pokrewnej, dającej gwarancję fachowości.

Drugie, korzystniejsze, wyjście upatrują w cofnięciu dotychczasowej organizacji bezpłatnej dzierżawy ośrodka majątku państwowego Złoków Kościelny i przejęcie pomieszczonej w nim instytucji pod własny zarząd Departamentu Sztuki. O ile znam potrzeby Ogniska nie obciążałoby to departamentu żadnymi dodatkowymi kosztami poza sumą wpłaconą dotychczas w formie dotacji, powstałyby bowiem z tego powodu pewne

oszczędności. Losy zaś Ogniska, mimo szczupłości środków finansowych, byłyby o wiele szczęśliwsze. Kierownicza mogłaby wreszcie oddać się w pełni swoim właściwym obowiązkom, na miejsce dotychczasowego uciążliwego sekretarzowania zarządowi jako „płatny pracownik” i miałaby regularnie wypłacaną swą skromną pensję, co jeszcze nie wydarzyło się w dziejach instytucji, nie bez wyraźnej dla niej szkody.

Rozwiązania pośredniego nie widzę. Wątpię aby w obecnej fazie stosunków jakiegokolwiek zmiany personalne mogły cokolwiek pomóc, wątpię również w skuteczność ewentualnej zmiany statutowej, któraby dała kierownikowi prawo weta w decyzjach dotyczących wydatkowania sum pieniężnych.

W dobie, kiedy zasiłki Departamentu Sztuki M. W. R. i O. P. na rzecz instytucji kulturalnych, po obecnem skompresowaniu budżetu, są tak tragicznie nieznaczne, gdy o każdy tysiąc złotych funduszu zasiłkowego rozgrywają się walki, każda instytucja korzystająca z tych zasiłków musi wydobyć z siebie maximum sprawności i właściwego ich wykorzystania. Pojawia się, jak nigdy przedtem, silnie konieczność należytej kontroli prac każdego z dotowanych.

Rzecz jasna wyjściem najmniej fortunnym byłoby proste odjęcie Ognisku zasiłku państwowego bez uprzedniego zażądania wprowadzenia niezbędnej reorganizacji, lub przejęcie jego obowiązków przez państwo. Niezbędności istnienia i wspomagania u nas tego rodzaju placówek dowodzić przecież nie potrzeba.

ALEKSANDER PATKOWSKI.

TRUSKAWIEC I MUZEUM IM. EMMY JAROSZOWEJ W POMIARKACH.

Truskawiec-zdrój. Wysiadają kuracjusze z północy i południa Polski, skupieni wszyscy w końcowym trójkącie podróży: Przemyśl—Lwów—Drohobycz. Kotlina Stryjska. Na północnym wschodzie pozostała nizina Nadniestrzańska, z zachodu pogórze Chyrowskie i Karpaty Przemyskie. a z zachodu na południe rysuje się równy grzbiet

pasma Bieszczad Skalskich. Przedgórze Karpat. Prowadzenie dorzecza Dniestru, gdzie Stryj szeroko przewodzi. Ale tutaj Tyśmienica, towarzysza Bystrzycy z Wisznicą, Łoszeniem, Ponerlanką na zachodzie i z głównym potokiem zdrojowym na wschodzie, Słonica, łączącą Truskawiec ze Stebnikiem, wreszcie na południu Kłodnica z żałobnym Potokiem pod Pomiarkami i mnóstwo innych potoków i źródeł — to dobroczynny świat wodny zacisznej kotlinki Truskawieckiej.



Ryc. 162.

Drohobycz. Cerkiewka św. Jura.



Ryc. 163. Drohobycz. Kościół parafialny.

Na powierzchni mamy szare ropy solne, a pod nimi — poprzedzające bezpośrednio czasy miocenu — oligoceńskie piaskowce i czarne łupki bitumiczne (menilitowe), naszą rezerwę wobec wyczerpującej się szybko ropy naftowej, niżej żyły rogowcowe, pod nimi piaskowiec borysławski, głębiej jeszcze schodzimy w najniższe piętro trzeciorzędu — eocen, gdzie mamy kredowy piaskowiec jamneński. Wszystko to ponasuwane, powywracane — ku radości pilnych i bystrych czytelników geologów-tektoników, badaczy Karpat fliszowych.

W tych warstwach występuje w różnych horyzontach, sięgająca najgłębiej w Europie, bo aż do 1821 m. — ropa naftowa (parafinowa).

Od roku 1862 coraz głębiej krajobraz tutejszy opanowały wieże wiertnicze z żurawami stosowanych systemów: kanadyjskimi, pensylwańskimi i kombinowanymi.

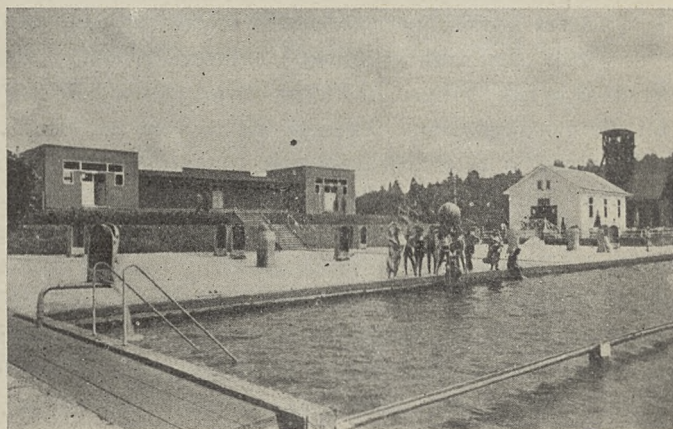
O zmierzchu wzgórza wśród lasów błyszczą tysiącami światła wież wiertniczych, zamkniętych w sobie, kryjących ciężkie niepowodzenia, wielkie zwycięstwa gorączki obcego niemal wyłącznie na ziemi naszej — kapitału.

Na wschodzie za to Stebnik. Wraz z odległym o cały powiat Stryjski i częściowo Żydaczowski woj. Stanisławowskiego, położonym na połudn.-wschód —

Źródłom zwłaszcza ma przyjeżdżający tutaj najczęściej do zawdzięczenia, czy solankowym, czy siarczanym zdatnym do picia i kąpieli, a osobliwie „Naftusi” o miękkiej wodzie, która kryje w sobie niezbadane jeszcze tajemnice promieniotwórczego i życiodajnego radu.

Na widnokręgu — lasy: buki i graby, dąbrowy stare, podszyte leszczyną i lipą wielkolistną, a najbliżej zarośla młodych dębów, kaliny, wiązu polnego, graniczna linja, idąca z północy na południe, cisa i południowa sosny, a na torfowiskach i podmokłych łąkach niebogata zresztą roślinność.

Życie tych wzgórz, potoków i lasów opanowały ukryte w głębi bogactwa ziemi. Pochodzą one z czasów najnowszej ery jej dziejów, która ustaliła egzystencję Karpat, gdy północne ich stoki pokrywało morze. Czasom miocenu zawdzięcza swój rodowód siarka tutejsza wraz z woskiem ziemnym (ozokerytem) i rudami ołowianemi.



Ryc. 164.

Pomiarki.



Ryc. 165.

Pomiarki. Muzeum im. Emmy Jaroszowej.

Fot. W. Besen.

Kałużem, jest Stebnik symbolem zwycięstwa walki lat ostatnich z potężnym „Kali-syndykatem” niemieckim naszego „Tespu” (Towarzystwa eksploatacji soli potasowych), podpory przyszłego rozwoju polskiej kultury rolniczej.

Kotlina Truskawiecka, wciśnięta między Drohobycz a Tustanowice, należy dzisiaj do powiatu Drohobycznego w woj. Lwowskim.

Stolica powiatu, herbu dziewięć beczek (topek) soli, królewskie miasto Drohobycz z 27000 z górą mieszkańców—ma obok siebie dwa miasta-wsie: Borysław

(ponad 16000) i Tustanowice (przeszło 13000), 76 gmin z wcielonemi w nie 34 obszarami dworskimi. Dawne starostwo ziemi przemyskiej, województwa ruskiego.

Żyje w tych stronach, wciągniętych przez nowoczesne życie przemysłowe w orbitę międzynarodowej polityki nafty i soli potasowych, własna rodzima tradycja historyczna wyprawy bukowińskiej Olbrachta, uwieńczona „Olbrachtowymi Rycerzami” Zygmunta Kaczkowskiego, żyje w renesansowym poemacie budownictwa drzewnego, polichromji bizantyjsko-ruskiej cerkwi św. Jura w Drohobyczu, w warownej tężyznie gotyku i religijnej ekstazie barokowego wnętrza Fary Drohobyskiej. Tylko zgiełk przemysłowego życia zagłuszył barwne stroje ludowe Bojków tutejszych, przechowując jedynie piękne kordki, szczydliwki czy wesuianki dziewcząt ruskich.

Cały ten świat otwiera i gościnnie doń zaprasza „państwo Truskawieckie P. Marszałka Rajmunda Jarosza”. Do tego „państwa” śpieszą wymordowani i chorzy poddani z całej Polski po zdrowie. Skoro przekroczą „słupy graniczne”, strzeżone przez wierną i dbałą o ciszę, spokój i czystość—„straż marszałkowską”, znajdą wszystko, co zgodnie z rytuałem kuracyjnym zadowolić może przyzwyczajenia dzisiejsze.

Jeśli „kotlinka zdrojowa” Truskawca tchnie sentymentem bidermajerowskim lwowskich litografij Pillera, do których przystosowała się jakaś nowoczesna willa z pod znaku „konstruktywizmu” czy jak się to tam nazywa, lub sala dancinowa bardzo zresztą dyskretna, o tyle nowoczesność przeniosła się na Pomiarki. „Odwiedź Pomiarki”! — 3½ km. przez gajówkę Krzywce, 1½ godziny pieszej przechadzki, jak głosi część pierwsza wydanego „Przewodnika po Truskawcu i okolicach” (z 2 mapami, 1930. Nakładem Zarządu Zdrojowego w Truskawcu). Pomiarki to tworzący się nowoczesny Truskawiec. Zapobiegliwy, pełen inicjatywy, właściciel zdrojowiska p. R. Jarosz przeobraził dawną kopalnię wosku ziemnego na ośrodek sportu kuracyjnego. Powstało tutaj świetnie urządzone kąpielisko siarczano-solankowe, piękny staw z łódkami, basen kąpielowy z plażą, kąpiele słoneczne i place gier dla dorosłych i dzieci—z bufetem, orkiestrą już bardziej cygańską, murzyńską, jazzbandową.

Wszystkie te koncesje na rzecz nowoczesnego zbliżenia komunikacyjnego świata,

nie zwolnią nikogo od sentymentu regionalnego, od pozostawienia cząstki zachwyty dla „Truskawieckiej kotlinki”.

Tej sprawie służy na Pomiarkach „przymierze między starymi i młodymi laty”: Muzeum im. Emmy Jaroszewej.

Powstało w roku 1926 z inicjatywy, oczywista, P. Marszałka R. Jarosza. Czuwa nad sprawami muzealnymi zarząd pod jego przewodnictwem, do którego wchodzi: prof. Akademii Górniczej i główny opiekun dr. Jan Jarosz i dr. Roman Jarosz. Muzeum ma dwóch kustoszów, rodem z Żywca: p. Jarosława Sagana, który opiekuje się działami—zoologicznym (gromadzi i preparuje zwierzęta kręgowe) i geologicznym, oraz p. Marka Sagana, który pracuje w bogatym dziale entomologicznym, nadto prowadzi sprawy administracyjne. Ka-



Ryc. 166.

Pomiarki. Muz. im. Emmy Jaroszewej.

Fot. W. Besen.

żdy z pp. kustoszów otrzymuje po 300 zł. miesięcznie, mieszkanie, światło, opał i obsługę. Takie postawienie spraw muzealnych wybitnie świadczy o praktycznym i organizacyjnym zmyśle inicjatora i twórcy muzeum. Posiada ono obecnie budynek prowizoryczny, dość prosty i nie zdradzający żadnych cech architektury regionalnej. Ale to jest prowizorium. Zamierzona jest budowa specjalnego, ogniotrwałego gmachu muzealnego.

Cztery działy zbiorów: geologiczny (1), botaniczny (1), zoologiczny (4), biblioteczno-archiwalny (wraz z dz. botanicznym) mieszczą się w sześciu salach, zaopatrzonych w odpowiednie szafy, gabloty i t. d.

Bardzo interesujący dział geologiczny mieści się w trzech szafach, dwóch gablotach i trzech pulpitych narożnych. Składa się z poddziałów: a) mineralogicznego, b) zbioru rud kopalni miejscowych, c) zbioru skał z okolic Truskawca, d) paleontologicznego i archeologicznego (w szczuplejszym zakresie). Wszystko zebrane zostało i określone przez prof. dr. Jana Jarosza wraz z pp. dr. J. Premikiem, E. Panowcem i J. Saganem.

Uwzględnione zostały badania najnowsze terenu, reprezentowane w pracach inż. Konstantego Tołwińskiego. Dział botaniczny w zaczątkach; mieści się w dwóch szafach. Obejmuje: grzyby, mchy i porosty, zebrane i spreparowane przez prof. Feliksa Teodorowicza przy pomocy pp. kustoszów.

Najbardziej i z widocznym upodobaniem ze strony pp. kustoszów rozbudowany zo-



Ryc. 167.

Pomiarki. Muzeum im. Emmy Jaroszowej.

Fot. W. Besen.

stał dział fauny miejscowej, naogół mało przez fachowców zbadanej. W dziewięciu szafach, trzech gablotach (w każdej 20 pudeł z owadami), osiem pulpitów (w każdym po dwa pudła) obejmują kręgowce i entomologię powiatu drohobyckiego. Zbierali to wszystko pp. kustosze przy udziale i pomocy fachowej pp. inż. Tadeusza, dr. Jana, Janusza i dr. Romana Jaroszków oraz strażnika leśnego ś.p. Stefana Pawliczkę. Pp. kustosze założyli na małą skalę regionalny ogród zoologiczny, odwiedzany chętnie przez gości.

Interesująco się przedstawia dział archiwalno-biblioteczny. Zebrana przedewszystkiem została literatura regionalna, dotycząca Truskawca i okolicy. W r. ub. obejmowała ona 34 pozycje oraz pięć b. ciekawych litografij przeważnie Pillera ze Lwowa z lat pięćdziesiątych ub. wieku, przedstawiających dawne widoki Truskawca. Wśród tej literatury mile uderza b. ciekawe czasopismo regionalne „Zdroje Truskawieckie” z lat 1925—7. Obok tego zebrana została bogata, a niekiedy rzadka literatura belneologiczna z 27 naszych zdrojowisk. Wszystkie zbiory są porządnie inwentaryzowane, jakkolwiek w tym zakresie przydałyby się książki inwentarzowe wzoru opracowanego przez Komisję Muzealną P. T. K.

Zamierzenia z chwilą wybudowania nowego gmachu muzealnego idą w kierunku wprowadzenia działu etnograficznego.

Muzeum im. Emmy Jaroszowej jest a w większym jeszcze stopniu będzie ośrodkiem sentymentów regionalnych i ogniskiem, skupiającem całą przyjaźń dla piękna i umiejętności, pełnej przywiązania władzy „Państwa Truskawieckiego”.

Przy Muzeum winien powstać Oddział Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego. Tak nakazuje dobrze pomyślany podział pracy, gdy turystykę na terenie doskonale rozbudował Oddział Polskiego Tow. Tatrzańskiego. Krajoznawstwo tutaj zajmie się niewątpliwie i ochroną przyrody i zabytków sztuki, stworzy monografię powiatu Drohobyckiego, szerzyć będzie kult swojszczyzny, nauczy patrzeć i miłować piękno regionalne tutejszych okolic.

G. STYCZKÓWNA.

S Ł U Ż E W.

W głuchych borach mazowieckich równin oręż zadzwonił. Potykał się Gothardus, comes, wierny sługa i wódz I-go mazowieckiego księcia, Konrada, z płaskonosymi dziekiewiczami wojownikami, którzy mord i pożogę niosąc ze sobą, w głąb puszczy nieprzebytych się darli. Drobnej urody, wszakże siły wielkiej i serca był Gothardus, syn

Łukasza. W ustawicznych bojach z poganami: Prusami, Litwą, Jaćwieżą hartu ostrej stali nabrało jego męstwo. Nie uląkł się i tym razem, choć garstkę jeno wojów książęcych miał przy sobie, a zastępy dzikich Jadźwingów mnogie były jak sosny w onym boru, w którym bój toczyć przyszło. Życia własnego nie szczędząc, walczył mężnie Gothardus, a wspaniałością nieustraszonego serca i rycerskich dzieł umiejętnością tyle dokazał, że nieprzyjacioły rozproszył i z chwalebne zwycięstwem zszedł z pola. Bóg mu przytem tak poszczęścił, że siedmiu wodzów Jadźwingów wziął w niewolę, których oddał księciu a panu swemu, Konradowi, za każdego z nich pomieniony książę siedemdziesiąt grzywien srebra otrzymał w okupie. Nagrodił Konrad wiernemu słudze czyny chwalebne i wspaniałe. Aktem z r. 1241, podpisanym i datowanym w Warszawie, nadał na wieczne czasy jemu i jego potomkom wieś Służewo. A nie była to licha darowizna. Nim Służewo dostało się w posiadanie pana Mazowsza, Konrada, należało przedtem do zakonu kanoników regularnych św. Augustyna w Czerwińsku, starym grodzie nad Wisłą, klasztor swój mających. A wiadomo przecie, że osady do klasztorów należące ludniejsze były i możniejsze od innych. Służewo, wieś zakonna, do znaczniejszych osiedli liczyć się już podtenczas musiała, skoro w r. 1238 Paweł, biskup poznański, aktem w Piecykowie wydanym, nową parafję służewską i kościół w niej pod wezwaniem Najświętszej Marji Panny i Św. Katarzyny w łasce swej eregować raczył. W czasie tym, Konrad, I-szy książę mazowiecki, w targowisku nad Wisłą położonem, Warszawą, czy też Warszawą zwanem, dworzec swój zbudował i często doń zaglądał. Wówczas to pewnie pobliskie Służewo, wieś ludna, o gruntach żyznych wpadła mu w oko, bo w r. 1240 wymienił ją u kanoników czerwińskich na dogodniejszy im Borzęcin.

Wkrótce potem nowonabytą wsią obdarzył pogromcę Jadźwingów, Gotharda, którego potomkowie przez długie wieki w posiadaniu swem ją zatrzymali. Comesami de Służewo pisać się poczęli i w ślady swego przodka wstępując, wiernie książętom mazowieckim służyli, kiedy zaś na początku XVI w. Mazowsze do Korony wcielone zostało, panowie służewscy już nie dzielnicowe, ale koronne urzędy zajmować zaczęli. Sławna w wieku XVI rodzina Uchańskich w prostej linii od Gotharda się wywodzi. Najznakomitszy przedstawiciel tego rodu, Jakób, arcybiskup gnieźnieński, prymas i I-szy „interrex” Polski urodził się w Służewie w r. 1501 z ojca Aleksandra, marszałka książąt mazowieckich. Od dóbr Uchanie, które Jakób później nabył, pierwszy w swej rodzinie przyjął nazwisko Uchański, a od niego i inni członkowie tej rodziny, przedewszystkiem bracia Uchańskimi zwać się zaczęli. Wszyscy oni po całej Rzeczypospolitej się rozproszyli, a Służewo przeszło na jakąś boczną linię rodu, która tego samego, co i Uchańscy zawołania Radwan będąc, nazwisko Służewskich zatrzymała. W czasach późniejszych Służewo weszło w skład dóbr wilanowskich. Jak i kiedy się to stało dokładnie określić nie umiem. Faktem jest, że kiedy Konstanty Sobieski sprzedawał w r. 1720 Wilanów Elżbiecie Sieniawskiej, żonie Adama, hrabiego na Granowie i Szklowie, to w liczbie wymienionych folwarków wilanowskich figurowało i Służewo. Spadkobierczynią Sieniawskich była jedyna córka Zofja, żona Aleksandra Augusta Czartoryskiego, który w r. 1742 wznosił w Służewie, na miejscu średniowiecznego, zresztą nieraz już przebudowywanego, a w końcu walącego się ze starości kościółka, nową okazalszą świątynię. Z dawniejszych czasów pozostały dwa srebrne barokowe świeczniki z wyrytą na nich datą 1635 r., które do dziś na ołtarzu stoją i piękny biały krucyfiks, również z połowy XVII wieku i obecnie jeszcze także kościół zdobiący. Prawdopodobnie od tegoż Augusta Czartoryskiego, część terenów do Służewa należących, na wschód od wzgórza kościelnego położonych, Gucinem zwać poczęto. Wnuczka Czartoryskich, Aleksandra Lubomirska, wyszła za mąż za Stanisława Kostkę hr. Potockiego, który po upadku Rzeczypospolitej,

kiedy stracił cały swój majątek, osiadł w dobrach dziedzicznych żony, a więc w Wilanowie. W salonach hrabiego estety, literata, publicysty i polityka gwaro było i ludno, tak gwaro i ludno, że coraz częściej hr. Stanisław, by wypocząć i myśli zebrać wymykał się z rojnych sal pałacowych w ciche puste pola. Sam, lub w towarzystwie nielicznych, najzaufańszych przyjaciół wyjeżdżał na długie spacery w okolicę. Wówczas to upodobał sobie Służew, a właściwie tę jego część, którą Gucinem nazywano. Miejsce oczywiście piękne jest, pełne cichego dyskretnego czaru. Na wzgórzu w otoczeniu kasztanów i topoli bieleje wiejski prosty kościół. W dole modry staw do słońca się uśmiecha, a dalej nieco potężne topole i brzozy wielkie tworzą gaj mały lecz niezmiernie wdzięczny. Wiosną szczególnie rozkosznie jest w Gucinie; wówczas na mokrych łęgach nad brzegami wody rozkwitają całemi kępami błękitne niezapominajki i jaskrawo-żółte kaczeńce; tarniny nad stawem zabłąkane, okryte białymi radosnymi kwiatami, wyglądają jak rozmarzone własną pięknoscią; ich łagodny słodki zapach miesza się w wiosennem powietrzu z ostrą, rzeźwą wonią tataraku, który wśród trzin wysokich ukryty w ten sposób daje znać o swej obecności. W gaju brzozy o jasnych głowach i nieco ciemniejsze topole stoją pod błękitnem niebem tak urocze, jak same uśmiechy wiosny. Hrabia Stanisław, który Europę wzdłuż i wszerz zjeździł i w podróżach swych najcudniejsze ziemskie podziwiał pejzaże za subtelnym był artystą, żeby nie dostrzegł i nie ocenił skromnego wdzięku mazowieckiego kąta. Nie psując naturalnego powabu miejsca, jeszcze je przyozdobił i tak polubił, że całe godziny tu spędzał w poszukiwaniu odpoczynku od gnębiących go spraw. A miał trosk i zmartwień wiele, bo przecie w trudnym ciężkim czasie żyć mu przyszło. Może jednak nie sama tylko część wypoczynku kierowała go do Gucina. U stóp wzgórza kościelnego, tuż koło gaju natrafić można na wejścia, prowadzące do podziemnych, obmurowanych korytarzy. Wśród ludności miejscowej krąży wieść, że w lochach odbywały się tajne zebrania masonów. Jest to dość prawdopodobne. Bo przecie właściciel Gucina, Stanisław Potocki, to jeden z czołowych przedstawicieli masonerii w Polsce, Wielki Mistrz Polskiego Wschodu. A wolnomularze, jak wiadomo, lubili urządzać swoje zebrania w miejscach tajemniczych, zakonspirowanych. Lecz jeśli nawet odbywały się w tych korytarzach zebrania masońskie, to chyba jednak nie wolnomularze podziemia te wymurowali. Cegła zdaje się świadczyć, że pochodzą one z czasów wcześniejszych. Według uporczywego, chociaż nie popartego dowodami mniemania ludności, lochy prowadzą aż do Czerska. I to znów możliwe. Książęta mazowieccy często na zamku czerskim przebywali, a Służewo, jak wiemy, wówczas do ich sług należało. Może rzeczywiście już wtedy istniały jakieś tajemnicze przejścia między grodem Mazowsza, a dziedzictwem Gothardowem.

* * *

Po śmierci Stanisława Potockiego pozostała po nim wdowa, Aleksandra, postanowiła uczcić pamięć męża, zostawić po nim w miejscu, które za życia tak ukochał, jakiś niezniszczalny ślad, jakąś po wieczne czasy pamiątkę. Wzniosła więc w gaju gucińskim wśród ciemnych topoli sarkofag z jasnego marmuru i taki napis wyryć kazała: „Stanisławowi Kostce hr. Potockiemu, Prezesowi Senatu Królestwa Polskiego w miejscu założonem i ozdobionem przez niego, gdzie w długich i ciężkich cierpieniach lubił szukać pociechy i ulgi Alexandra z XX. Lubomirskich Potocka, małżonka wzniosła tę pamiątkę za spędzone z nim lat XLV w słodkim i szczęśliwym pożyciu”.

Z tego krótkiego a jednak pełnego romantyzmu napisu wieje jakiś smutny czar. Poddajmy mu się na chwilę, a w oparach zadumy, jakie z sobą niesie ujrzymy może

Aleksandrę Potocką, panią wytworną, za czasów księstwa pierwszą damą w kraju, po śmierci męża siwiejącą zaniedbaną wdowę, jak błądzi samotnie po gucińskim gaju. Idzie ostrożnie jakby starała się stąpać po złudnych śladach tego, który za życia tak często tu przebywał, a który nigdy już nie wróci. Myśli przytem, że właściwie całe życie zeszło jej na wtórnem przemierzaniu drogi męża i dlatego jest teraz tak ogromnie samotna, niepotrzebna i żadnego celu znaleźć nie mogąca.

Za przykładem małżonki przyjaciele zmarłego w podobny sposób pamięć Stanisława Potockiego i jednocześnie jego znakomitego brata, Ignacego, uczcili. U wejścia do gaju wzniesli obelisk z piękną urną na szczycie. Napis na nim wyryty głosi: „Gay poświęcony od przyjaciół pamięci Stanisława i Ignacego Potockich. Straż gaju tego w najpóźniejsze czasy poświęconą jest tym, którzy cenią Cnotę i Zasługi Publiczne”. Niedaleko sarkofagu na piaskowcowej płycie czytamy znowu inny napis: „Pamiętce rzadkich braci i obywateli, Ignacego, marszałka W. W. X. L. i Stanisława, Prezesa Senatu K. P. Potockich, w których czynnem i trudnem życiu los dowiódł, że wielkie światło i cnota nie zdołały dźwignąć skazanych na upadek narodów. J. Mostowski Minister S. W. K. P. wraz z żoną M. z Potockich Mostowską i sześciorgiem dzieci modrzewi 10 w jednym okręgu zasadzili i poświęcili dnia 12 lutego 1822 r.”. Z modrzewi owych śladu nie zostało, napisy na pamiątkach nawpół się zatarły, kamienny sfinks, który strzegł obelisku i wejścia do gaju, bezmyślną ręką strącony, podobno na dnie gaju spoczywa, piękna balustrada, gaj otaczająca, doszczętnie zniszczona została. Dopiero w ostatnich czasach zarząd dóbr wilanowskich podobno na polecenie rządu otoczył opieką gaj guciński. Opasał go nawet już murem i ma się zająć konserwacją pomników. Ale gdyby wytworny esteta, hr. Stanisław mógł widzieć ten szpetny koszarowy mur, którym jego piękny gaj ogrodzono, napewnoby się w grobie z oburzenia przewrócił.

Opuśćmy jednak wreszcie wschodnią stronę Służewa, gdzie Gucin jest położony, i spójrzmy na południe. Ujrzymy tam również pewnego rodzaju pamiątkę, pochodzącą zresztą z czasów daleko nowszych. Ta pamiątka to ruiny fortyfikacyj rosyjskich. Moskale otoczyli Warszawę jako twierdzę obwarowaniami ziemnymi. Gdy w r. 1915 porzucili Królestwo—zburzyli je wszystkie. Na opuszczonym, trawą zarosłym forcie służewskim krowy się obecnie pasą, a na reszcie terenów już uprawnych gospodaruje Magistrat Warszawski. W dawniejszych zaś koszarach i domach oficerskich mieści się obecnie Instytut Higjeny.

A Służew dzisiejszy—jak wygląda? Ot taka sobie zwykła, może tylko trochę większa, niż inne, podwarszawska wieś. Środkiem i w dole płynie strumyk, który w jednym miejscu rozszerza się dość malowniczo w duży staw. Na pierwszy rzut oka nic szczególnego, dopiero po bliższem poznaniu wsi i wniknięciu w jej dzieje odkrywa się przed nami rozległy szmat czasu, a na jego tle występują obrazy, zdarzenia i ludzie różnorodni. Średniowieczny pogromca Jadźwingów, Gothardus i znakomity jego potomek, humanista, niedoszły reformator kościoła, zręczny polityk—Uchański, wytworny magnat o wielkiem sercu gorącego patrioty i społecznika—Potocki, wreszcie żołdat moskiewski: wszystko to są postacie znamienne, charakteryzujące swą epokę. A dziś? Jeszcze nie zdążyło się niczem zaznaczyć, jeszcze niema określonego charakteru. Chociaż kto wie? Może właśnie ów Instytut Higjeny w opuszczonych koszarach, może mająca się budować na polskich dołach i wybojach szosa — to właśnie piętno naszych czasów, charakter epoki.

O NIEKTÓRYCH ZWYCZAJACH WIOSENNYCH.

W życiu rolnika okres pracy wiosennej jest podwaliną jego bytu na cały rok. We wszystkie więc czynności gospodarcze wplata się cały szereg przepisów i zabiegów, stanowiących niesłychanie bogatą gałąź obrzędowości wiosennej, która przejawia się wyraźnie już koło Zapust i trwa do Zielonych Świątek, a nawet do Świętego Jana, zaznaczając się intensywniej koło uroczystych świąt kościelnych.

Wstępnym niejako obrzędem wiosennym jest „wywoływanie” wiosny. Zwyczaj ten, pod nazwą „zaklikania” (klikat', klikać = wołać) lub „hukania” wiosny, zachował się na Białejrusi i w niektórych okolicach Wielkorosji. Polegał on na tem, że na Jewdokję (1 marca), na 40 Męczenników (9 marca) lub na Zwiastowanie (25 marca) młodzież gromadziła się na wzgórzach lub dachach stodół i śpiewała odpowiednie pieśni. Gdzieś tam zwyczaj ten trwał przez cały post. W gub. Kostromskiej dziewczęta wywoływały wiosnę, stojąc po pas w wodzie, lub dookoła przerebli, jeżeli jeszcze nie stopniały lody. Przeważnie czyniły to przed wschodem słońca. Pieśni, śpiewane przytem, zachowały się na całym obszarze ziem ruskich, stanowiąc część pieśni korowodowych t. zw. „hailek”.

Występuje w nich nieraz nader wyraźnie myśl przewodnia tego obrzędu. Oto Białorusini śpiewają:

„Da pomożi, Boża, wiasny zaklikati:
Na tichoja l'eto, na jadżano żyto,
Żyto i pszanicu,
Usiakaju pasznicu”.

Wyrazem tego, jak wielką wagę przywiązuje rolnik do pomyślnie zapoczątkowanej wiosny, jest pieśń polska:

„Dz'iakuj tobie, Boże,
Szto zimu skanczali,
Szto wiasny daždali!
Pamażi nam, Boże,
U dobryj czas naczaci,
Wiasnu wyklikaci”.

Wiosna przynosi ze sobą wszelkie dobrodziejstwa dla ludzi. Szeroko rozpowszechnione jest wierzenie, że otwiera ona kluczami ziemię, by wyzwolić ze swego łona trawy, zboża i kwiaty. Wierzenie to znajduje odzwierciedlenie w licznych pieśniach słowiańskich. U Czechów, Wałachów Morawskich, Wielkorusów i Białorusinów prośba o te klucze kierowana jest do św. Jerzego. Śpiewają więc u Czechów:

„Svaty Jiři vstava, zem odmykáva,
aby trava zostala, travička zelená...”

U Wałachów Morawskich zapytują w pieśni Mařenę, gdzie podziła klucze, na co Mařena odpowiada: „Dala jsem jich, dala svatému Jiřimu, aby nam otevřel zelenu travinu”. Na Słowacczyźnie podobne pieśni śpiewane są od śródościa do Kwietnej Niedzieli. Na Ukrainie mówią o św. Jerzym, że chodzi po polu i rodzi chleb-żyto. Wielkoruska pieśń głosi, że św. Jerzy przynosi rosę. Serbowie wierzą, że przy podziale świata otrzymał on wiosenne kwiaty.

Pieśni o kluczach, otwierających ziemię, znane są szeroko u Wielkorusinów, którzy wierzą niekiedy, że ziemia otwiera swe wnętrze i pozwala rosnąć zbożom dopiero po pierwszym grzmocie; niekiedy znowuż, że ptaki przynoszą wiosnę. W wielu okolicach

Rosji, gdy 9 marca przylecieć mają skowronki, gospodynie pieką z ciasta wyobrażenie tych ptaków, smarują je miodem, a skrzydła i główki farbują złotem. Chłopcy i dziewczęta włączają na dachy z temi skowronkami i proszą je, by najrychlej przyniosły wiosnę. Na Białejrusi „siraja gałoczka” przynosi złote klucze, a z nimi wiosnę.

Obok wywoływania wiosny liczne obrzędy słowiańskie wyobrażają jej powitanie z jednoczesnem pożegnaniem zimy, która zgodnie z licznymi wierzeniami w okresie wiosennym spotyka się z latem i zмага się z niem, aż dopóki nie zapanuje wszędy zwycięska wiosna. Szeroko rozpowszechniony jest zwyczaj topienia zimy (zwanej niekiedy śmiercią) pod postacią bałwana ze słomy. Zwyczaj ten praktykowany jest przeważnie na śródpolskiej, w t. zw. białą niedzielę (laetare), u Czechów zwaną „Smrtna neděle”, u Niemców „Todtensonntag” lub „Sommertag”. Taki manekin ze słomy nosi u nas nazwę Marzanny, u Słowaków Moreny, u Wąłachów Morawskich Mařeny. U Czechów obrzędowi temu towarzyszy pieśń, wypowiadająca wyraźnie jego wewnętrzną treść:

„Giž nesem smrt ze vsy,
Nove leto do vsy,
Vitaj leto libezne!”

lub: „Smrt plyne po vodě,
Nove leto k nam gede”.

U Białorusinów nadchodzącej wiosnie nadają ludzką postać i nazywają ją Ljaja. Ma to być piękna, wysoka postać kobieca. Na jej cześć obchodzą przeddzień św. Jęzrego specjalne święto, zwane Ljalnik. Na łące zbierają się dziewczęta i z pośród siebie wybierają najpiękniejszą jako Ljalę. Ubierają ją następnie w białe szaty, zdobią zielenią, na głowę wkładają wianek z kwiatów i sadzają ją na murawie, stawiając przy niej jadło i kładąc wieńce. Dziewczęta tańczą dokoła niej i zwracają się do niej z prośbą o urodzaje, ona zaś obdarza je wszystkimi wieńcami.

Podobny charakter ma uroczystość ku czci Jaryły, który w wyobraźni ludu białoruskiego jest pięknym młodzieńcem na białym koniu. Nosi on biały płaszcz, na głowie wieniec z wiosennych polnych kwiatów, a w lewym ręku trzyma garść kłosów zbożowych. Białorusini święto jego obchodzą w okresie pierwszych siewów (w końcu kwietnia); na jego cześć gromadzą się po wsiach dziewczęta, wybierają jedną z pośród siebie i ubierają ją tak, jak w wyobraźni ludowej wyglądać ma Jaryło. Dokoła niej tańczą i śpiewają na zasianych niwach, przyczem pieśń mówi o Jaryle, że gdzie tylko dotkną jego stopy, tam wyrasta żyto, gdzie tylko padnie jego wzrok, zakwitną tam kłosy.

U nas, po zniszczeniu śmierci — zimy, wnoszą do wsi „nowe lato” pod postacią świeżej gałęzi zielonej, zwanej „nowe latko”, „gaik” lub „maik”. W obrzędzie tym biorą udział przeważnie dziewczęta, niekiedy dzieci i proszą przytem o dary.

W Wielkopolsce śpiewają:

„Nie wicie wy gospodyni,
Nowe latko stoi w sini,
Żeli chcecie oględować,
Musicie nam co darować”.

Pokrewnym zwyczajem jak zapewne znane na całym Zachodzie wnoszenie do wsi i miast „majowego” drzewa lub żerdzi, który to zwyczaj, mimo zakazów władz duchowych i świeckich, przetrwał do ostatnich niemal czasów.

W tym samym czasie, gdy dziewczęta chodzą u nas z gaikiem, chłopcy chodzą z „kurkiem”. Jest to niekiedy obnoszenie żywego koguta, niekiedy przebieranie się za kura, najczęściej jednak obnoszenie sztucznego kogutka, wystruganego z drzewa, lub zrobionego z pakuł, lepionego z gliny lub ciasta, a ozdobionego koguciami piórami.

Równoległe do wyżej wymienionych obrzędów, spełniane są liczne praktyki i zabiegi gospodarcze, które zaznaczają się już m. inn. w przytoczonych obrzędach z Ljalą i Jaryłą u Białorusinów. U Wielkorusów dla upragnionej wiosny składają dary: oto niewiasty, na jej powitanie, rozciągają na polu nowe płótno i kładą pieróg, a zwracając się ku wschodowi, mówią: „To dla ciebie, Matko Wiosno!” Dary te pozostawiają na polu i powracają do domu, wierząc, że wiosna odwdzięczy się za to, dając dobry urodzaj na len i konopie. Podobnież i Bułgarzy na powitanie wiosny 1 marca składają jej w darze specjalnie w tym celu upieczony pieróg.

Zabiegi gospodarcze zaznaczają się też wyraźnie podczas Zapust. Znanie jest więc u nas, a także w Niemczech „skakanie na konopie i len”. Odbywa się to w karczmie podczas pijatyki, a w Pińczowskim baby tańczą i skaczą wysoko, śpiewając:

„Hola, hola do góry,
aby konopie tyle były!”

Niekiedy też chodzą po drodze dwaj mężczyźni, z których jeden przebrany jest za babę. Zatrzymują oni po drodze przechodniów, prosząc o „wykup” i tańcząc w podskokach na „urodę” zboża.

Nader bogate w praktyki i zabiegi gospodarcze są Święta Wielkanocy. Szczególną wagę przywiązują powszechnie do „palmy” wielkanocnej. Ma ona u nas, u Czechów i w Niemczech znaczenie lecznicze. Chroni także od burz. Na Ukrainie przechowują ją za obrazami przez cały rok, a podczas burzy gospodarze obchodzą z nią całą zagrodę i wrzucają jej ułamki do płonącego ogniska, aby dym chmury rozpędził. W Rosji zatykają ją za obrazy, jako ochronę od burz i piorunów. Podobnież w Krakowskim służy ona do zażegnania burzy, przyczem, gdy nadciąga chmura gradowa, rzucają gałązki „palmy” lub wbijają je w ziemię na czterech rogach zagrożonego pola. W Niemczech również chroni od gradobicia; przechowywanie jej w domu zabezpiecza od ognia piorunowego, a spalanie od burz.

Na Orawie pod pierwszą skibę przy siewie rzuca się „baški” z „palmy”. W okolicach Pińczowa części jej wtykają do zboża, przeznaczonego do siewu. Podobnież w Niemczech używa się jej przy zasiewach. W St. Gallen gospodarz, wyrzucając na pierwszą orkę, kropi pług wodą święconą, używając do tego różgi wielkanocnej. Ze zwyczajów, związanych z różgą wielkanocną, na uwagę zasługuje bicie nią w Niedzielę Palmową. Zwyczaj ten występuje dziś pod kilkoma postaciami. Oto w okolicach Gniezna w Wielki Piątek rodzice biją dzieci „za boże rany”. Przeważnie jednak w Kwietną Niedzielę wszyscy biją się wzajem palmami, a na ziemiach ruskich powszechna jest przytem charakterystyczna formuła:

„Nie ja bju — wezbà bje,
Za tyż deń Welykdeń:
Bud' zdorów jak wodà,
Bud' bohaty jak zemlà”.

Szeroko też jest rozpowszechniony zwyczaj, że chłopcy biją różgą dziewczęta, które muszą się od tego wykupywać pisankami. U Hucułów biją także tą różgą wszystkich domowników i bydło. Naogół używana ona bywa często w licznych zabiegach z bydłem.

W okolicach Pińczowa kotki ze święconej wierzby dają w chlebie domownikom i bydłu, jako zabezpieczenie od chorób. Podobnież w pow. Sarańskim (Rosja) w niedzielę palmową wrzucają gałązkę do jądła bydłu, co ma je chronić przez cały rok od zarazy.

W Starejwi wymiatają nią stajnie i chlewy, a także mieszają nią w żłobach, aby oczyścić je z zaraźliwej choroby. Aby uchronić krowy od chorób, omiatają je palmą

wielkanocną. W Sowlinach w Kwietną Niedzielę, po powrocie z kościoła, obwiązują bydłom szyję samym sznurkiem, którym związana była różdżka wielkanocna. Używają jej też powszechnie pasterze przy wypędzaniu bydła po raz pierwszy na pastwisko. W okolicach Pińczowa gospodarz uderza je wówczas palmą święconą, którą potem daje pasterzowi do ręki, polecając mu odnieść ją z powrotem do domu. U Białorusinów bydło, wyganiane po raz pierwszy w pole, błogosławią gałązką wierzby, umaczaną w wodzie święconej, śpiewając przytem znaną piosenkę: „Nie ja biję — wierzba bije”, zakończoną słowami:

„Wstawaj rano bydło gnać,
Nie zapomnij chleba wziąć”.

Wypędzają przytem bydło w niedzielę palmową z chlewu specjalnie w tym celu, by użyć święconej w tym dniu różgi.

W Rosji, bijąc bydło wierzbą święconą, mówią:

„Chłostaj, chłostaj wierzbo,
By bydełko żwawe było!”

Przy wyganianiu bydła po raz pierwszy w pole nie zawsze posilkują się „palmą” wielkanocną, zawsze jednak z różgą, przeznaczoną do tego celu, wiążą się ceremonie specjalne. Oto u Mazurów, gdy dzieci podczas Wielkanocy chodzą „śmigusować”, nosząc ze sobą różgi. Różgę taką biorą od nich przez chustkę i przechowują starannie, aby nią wygnać bydło na pastwisko. Niekiedy też na drugi dzień Bożego Narodzenia pasterz idzie po kolędzie od domu do domu, nosząc ze sobą różgi brzożowe. Gospodyni wyciąga jedną z nich, przykrywszy palce fartuchem, i kładzie ją na stole. Znosi ją następnie na strych i wtyka w wymłócone stoże gałązkami do góry, by w dzień Matki Bożej (25 marca) w zupełnem milczeniu zanieść ją do obory i wygnać bydło. U Łotyżów gałązki, któremi wyganiają krowy, przechowują od Zapust. Na Słowaczyźnie wyganiają bydło po raz pierwszy na Przewodnią Niedzielę, a pręt, który do tego służy, zowie się „martinák”, gdyż tu na św. Marcina pasterz roznosi po domach brzożowe różgi. W Bawarii również gałązka przechowuje się od św. Marcina, kiedy to pasterz przynosi ją, pięknie ozdobioną, do domu. W Niemczech przeważnie na 1 maja uderzają każdą sztukę bydła gałązką jarzębiny lub wierzby. W Westfalji i Meklenburgu biją jabłówki, przy nadawaniu im imienia, wierząc, że to ma zapewnić mleczność. Ten sam zwyczaj notowany jest także w środkowej Francji. W Bośni i Hercegowinie bicie różgą bydła występuje na św. Jerzego. Bośniak, przy wykonywaniu tego zabiegu, staje we wrotach obory i bije kolejno każdą sztukę bydła.

Bicie różgą jest zapewne zabiegiem, mającym sprowadzić dobrobyt i płodność, a także wszelką pomyślność, jak na to zdają się wskazywać przytoczone wyżej formuły, wypowiedane przy biciu różgą. Zwyczaj ten znany jest także przy innych obrzędach dorocznych. W licznych okolicach Polski występuje bicie drzew na urodzaj (przeważnie w okresie Świąt Bożego Narodzenia). W Zachodniej Flandrji na Zapusty biją prętem jabłoni w tymże celu. Bicie różgą ma też niekiedy znaczenie wyraźnie magiczne. Oto w Szwabji zanotowano fakt następujący: gdy konie zachorowały na świerzbę, polecono stajennemu chłopcu uderzyć każdego konia trzykrotnie trzema wierzbami. Gdy to wykonał, skoczył na niego kot. Choroba więc na skutek bicia różgą wyjść miała z koni pod postacią kota.

Z innych zabiegów z bydlęm wymienić należy obrzędowe karmienie „święconem”. U Hucułów okruszyny „święconego” przechowują się do Wniebowstąpienia, a wtedy mieszają je z solą i dają bydłu, by je zabezpieczyć od ukąszeń żmij. Niekiedy też przygotowują dla bydła specjalną „paskę” zwaną „chudóbiyna páska”, składającą się z resztek każdego ciasta, przeznaczonego na święcone, nadto z sera, jaj, słoniny i t. d.

Do tej mieszaniny dodaje gospodni różnych odpadków z ula, martwych pszczoł i nieco miodu, przemawiając przytem: „Ażebyś była taką staranną, taką głodną, taką przyjazną, taką lekką jak pszczoła; jak ona siedzi przy kupie, powraca, chociażby nie wiedzieć dokąd poleciała, i jedna nie zostawi drugiej, ale wracają wszystkie do ula, tak moje bydełko aby przez cały rok wracało do swojej koszary, tak w dzień, jak w nocy, jak pszczoła leci w oczko ula; a tak żeby się ono płodziło, jak pszczoła płodzi się, jak ona się roi!”. Paskę tak przyrządzoną pieką, suszą, a służyć ma ona jako lekarstwo dla bydła. W Jaworniku w niedzielę i poniedziałek wielkanocy rozdają bydłu i koniom po kawałku chleba i chrzanu. W Basiówce pod Lwowem dają bydłu choć „kruszynę” święconego, by Chrystus pamiętał o „chudobie”.

Obok zabiegów z bydłem spełniane są liczne zabiegi rolnicze. Poczynając więc od Wielkanocy aż do Zielonych Świątek, a nawet św. Jana znane jest u nas procesjonalne obchodzenie pól, aby przyniosły one najpomyślniejsze plony. W okolicach Kielc w poniedziałek Wielkanocy gospodarze przed wschodem słońca obchodzą procesjonalnie pola i kropią je wodą święconą. Biorący udział w tym obrzędzie zowią się „śmiguściami”, gdyż chodzą oni następnie po wsi od chałupy do chałupy po „śmiguście”. Na Zielone Świątki i na Św. Jana w licznych okolicach Polski obiegają pola z płonącymi żerdziami, by uchronić plony od wszelkich nieszczęść. W Belgji i Francji obchodzą pola z płonącymi pochodniami, by ratować plony od „złego siewcy”. U Łemków Karpackich czynią to na Zielone Świątki, śpiewając przytem pieśń, wyraźnie odzwierciadlającą cel tej uroczystości.

„Módlmy się do Boga wszyscy pospołu,
Zeby nas chmury nie nawiedzały,
Złe wichry nie panowały,
Ochraniaj, Boże, góry, doliny,
Góry, doliny, i nasze plony”.

W Niemczech i Austrii obchodzą pola na Wielkanoc, 1 maja i Zielone Świątki. Wśród katolickiej ludności niemieckiej w uroczystościach tych bierze także udział duchowieństwo.

Obchodzenie pól w okresie kwitnienia zbóż znane było również w Rzymie starożytnym.

W całym okresie wiosennym liczne przepisy wkraczają we wszystkie dziedziny gospodarstwa domowego.

W okolicach Pińczowa, gdy na Wielkanoc dają do święcenia gotowane jaja, kładą między nie jedno surowe, a po poświęceniu wtyka się je do lnu, przeznaczonego do siewu. Wychodząc w pole z tym lnem, zabierają ze sobą owe jajko, a po siewie przynoszą je z powrotem do domu. Skorupy z jaj święconych rzucają na ogródek rozsadowy, aby liszki nie objadały kapusty. Do koszyka, z którego wyjęto święcone, zmiatają odrazu śmiecie z izby, aby się robactwo nie lęzło w domu. Koszyk ten stawiają najczęściej na piecu, a po skończonych świątach śmiecie wyrzucają na to miejsce, gdzie ma być zasiana rozsada na kapustę, co ma chronić nasienie od robactwa. W niedzielę Wielkanocną rolnicy, chcąc, aby zboże obficie zeszło bez rdzy i kąkolu, nadcinają zboże w pewien sposób nożem, którym przedtem jakieś mięsa krajali. Wiadomość o tem podana jest w kazaniu średniowiecznem w. XV.

Liczne też przepisy gospodarcze towarzyszą obrzędowości świętojańskiej. Mazurzy z Olsztynka zalecają w dniu św. Jana okopać conajmniej trzy sztuki kapusty. W Mikułowicach i okolicy w dniu tym jest zwyczaj „gniecenia” cebuli. Polega on na tem, że po grzędach, na których rośnie cebula, taczają pustą beczkę, lub też dziewczęta gniotą cebulę, siadając na zagonach. Zawijają też supełki na naci czosnku, starając się nie omiąć żadnego krzaczka, inaczej bowiem nać ma uschnąć, a główka w ziemi „utonąć”.

Powszechnie też wierzą w znaczenie ognia świętojańskiego dla pomyślności plonów. Na Ukrainie i Białejrusi resztki drzewka świętojańskiego, „Kupajłę”, roznoszą po ogrodach i rozrzucają po grzędach, aby ogórki i kapusta dobrze rosły. Czyniąc to, mówią:
„Jak nasz Kupajło buw krasny,
Szob naszy ohirky' były, taki rasny”.

Białorusinki wrzucają do ognia brzoźowe gałązki ze słowami: „oby len mój był taki wielki jak ta brzoźka!”

Słoweńcy rozrzucają po polach i ogrodach popiół, węgle i głównie z ogniska świętojańskiego, aby robaki nie psuły zasiewów. To samo czynią Czesi, by zabezpieczyć swe plony, ogrody i owoce od niepogody i gradów.

W bogatej obrzędowości cyklu wiosennego, jak wnosić można z nielicznych przytoczonych wyżej praktyk i zabiegów, przewija się ustawicznie jedna nić przewodnia: troska najistotniejsza o zabezpieczenie pomyślnych i obfitych plonów, będących dla rolnika podstawą jego codziennego bytu na cały, długi rok.

JAN SZCZEPKOWSKI.

SUPRAŚL I BAZYLJAŃSKI MONASTER.

Przy układaniu marszruty wycieczek po kraju korzystamy zwykle z utartych i wydeptanych szlaków i ścieżek. Oglądamy najczęściej pamiątki i pejzaże znane i spopularyzowane dzięki drukowanemu słowu lub osobistej zachęcie. A przecież są w Polsce zabytki prawie nieznanne, godne widzenia z racji ich wartości artystyczno-architektonicznych, oprawne przytem w ramy prześlicznej okolicy.

Do takich omijanych miejscowości należy ukryte w lasach miasteczko Supraśl, nad rzeką Supraślą, szczycące się starym niezwykłym bazyljańskim monasterem.

Dojazd do Supraśla łatwy. Z Dworca Głównego w Warszawie wiezie nas kurjer do Białegostoku niecałe trzy godziny. Kogo nie nęci zwiedzanie skromnych resztek pałacu Branickich, owego polskiego Wersalu z końca XVIII w., ten ucieka czemprowadziej ze wstrętnie zabudowanego i cuchnącego miasta w dalszą drogę wygodnym autobusem.

Autobusów na rynku białostockim pełno. Wjeżdżają i wyjeżdżają w różnych kierunkach, niby ekspresy na dworcu centralnym. Czytamy napisy na tych żywiolowych konkurentach naszych konserwatywnych kolei: Łomża, Grajewo, Wołkowysk, Grodno, Suwałki i t. d. Jest i Supraśl. Kilka minut oczekiwania urozmaiconego słuchowiskiem lokalnego polsko-rosyjsko-żydowskiego żargonu i już nas niosą wartko elastyczne koła.

Przełot krótki: zaledwie 15 km. Faliste pola, potem bujny i piękny, lecz, niestety trzebiony niszczycielską siekierą las i oto już jesteśmy u celu podróży—w Supraślu.

Miasteczko zupełnie odmienne od innych kresowych osad dzięki swej genezie.

Na obszernej polanie, ongi puszczoł wydartej, wśród topoli, brzoź i sadów owocowych, stoją domki niewielkie, drewniane, czerwoną dachówką kryte, zbudowane równo, w pewnych od siebie odstępach, jak przystało na miasteczko fabryczne, założone przez Niemca.

Z boku nowy kościół katolicki i kircha, po stronie zaś przeciwnej parę wysokich czarnych kominów oszpeca piękne tło. Wreszcie w pewnem oddaleniu na wzgórzu monumentalnym kontrastem świecą mury klasztorne ze średniowieczną wschodnią świątynią.

Pod miasteczkiem i klasztorem wije się spławna dla drzewa rzeka Supraśl, dopływ Narwi, za nią zaś połąć jasnozielonych łąk i lasy — lasy bujne, gęste, spiętrzone na

wzgórzach rozpostarte w ogromnym około pięćsetkilometrowym kompleksie! W gęstwach przemyka płochliwa sarna lub jelen okazały, grasuje rabuś-wilk i stokroć od niego szkodziwszy wnykarz-kłusownik. Dawne puszcze królewskie, dziś lasy państwowe, stanowią uroczne tło i są niezastąpioną niczem podstawą zdrowotnych warunków Supraśla. Lasy te obejmują ogromne tereny podzielone na nadleśnictwa: Białystok, Supraśl, Knyszyn, Czarna Wieś, Kumiałka i Waliły (łącznie przestrzeni 60 000 ha).

Miasteczko i obecny majątek Supraśl powstały na gruntach wielkich dóbr klasztor-nych, skonfiskowanych przez rządy pruski i moskiewski po trzecim rozbiórce Polski. Przy klasztorze zaledwie kilka hektarów ogrodu zostało.

Najbliższą „księżą krzywdę”—majątek Supraśl wydzierżawił w 1834 r. a następnie za bezcen nabył (w 1864 r.) od rządu rosyjskiego Niemiec, Zachert¹⁾ i pobudował na terenie majątku dużą fabrykę sukna. Sprowadzeni zaś na majstrów fabrycznych Niemcy dali początek, dziś spolonizowanej grupie ewangelików. Jeszcze w roku 1833 cała ludność, zamieszkała przy klasztorze, składała się z 80 dusz służby klasztornej i leśnej. Dziś już przeszło trzy tysiące głów zaludnia miasteczko.

Ludność wyznaniowo mieszana: katolicy, ewangelicy, prawosławni i starozakonni. Tych ostatnich niewielu, tylu tylko, ilu trzeba, aby handel w mieście w swych rękach trzymać i administrować w czterech żydowskich fabrykach sukna. Praca fizyczna do reszty należy.

Turystę, przybyłego do Supraśla, oczywiście, najbardziej zainteresować musi dominująca nad miasteczkiem i okolicą, stara cerkiew bazylijska ze skarbami dawnej sztuki.

Gmach cerkiewny, zbudowany w kształcie prostokątnego czworoboku, z czterema basztami obronnymi i kopułą ponad środkiem nawy, wsparta na czterech filarach, posiada zasadniczy układ wschodni, a jednak gotycka architektura okien i sklepień, oraz późniejsze barokowe uzupełnienia, nadają gmachowi w szczegółach piętno zachodnie. Z całej tej monumentalnej świątyni, zarówno z zewnętrznego kształtu jak i z jej wnętrza, przemawia do nas dziwne szarmonizowanie greckiego obrzędu z łacińską kulturą, coś jakby Wschód z Zachodem tu sobie wzajemnie podały dłonie, jednego Christa po słowiańsku i łacinie sławiąc. Wymarzona unji świątynia o doniosłej roli dziejowej!

Należy ją choć pobieżnie wewnątrz obejrzeć.

Absydę jasną i lekką, typowe wnętrze kaplic pałacowych z połowy XVIII wieku, w stylu wybitnie zachodnim, z dawnej absydy przebudowaną, oddziela od nawy ikono-

stas (renesans gdański) bogato w drzewie rzeźbiony o trzech kondygnacjach obrazów. Między malowidłami figurki i ornamentacje, złociste liście, kwiaty i główki aniołków. Niesłychanie cenne dzieło Andrzeja Modzelewskiego, snycerza i pozłotnika w Gdań-



Ryc. 168.

Supraśl. Klasztor i cerkiew Bazylianów.

¹⁾ Zachert w czasie powstania pomagał rządowi moskiewskiemu w tropieniu powstańców. On to, jak kategorycznie twierdzą tutejsi mieszkańcy, wskazał i wydał Szymona Konarskiego. Sprawa odebrania Zachertom majątku sukcesyjnego była wszczynana w Sejmie, lecz bez skutku.

sku, ukończone 8 czerwca 1664¹ r. i tu na barkach wodą dostawione, jak stwierdza klasztorna kronika. Pożłota z owych czasów zachowała się jeszcze i świeci dotąd z pod pastelowej wieków patyny (prócz carskich wrót, które odnowiono w końcu XIX w.).

Na trzech kondygnacjach obrazy stare, przeniesione, z dawnego ikonostasu. Jedne pomarszczone ze starości i zaniedbania, inne odnowione lub zupełnie nowe—prawosławne. Do pierwszych należy górna kondygnacja. Po środku Bóg-Ojciec, po bokach na czterech obrazach dwunastu proroków, wreszcie na krańcach sen Jakóba i Mojżesz z wężem. Pendzel znakomity i nieznany. „Malował niejaki Wincenty”, mówi sucho kronikarz. Lecz ów mistrz Wincenty nie był to pewnie jakiś obcy modny Flamandczyk, czy Holender skoro Mojżesza w pozłocisty żupan, pas polski i buty safjanowe przyodziął, obok zaś wiążącego na słupie węża postawił w polskim moderunku żołnierza i niewiastę również w polskim stroju z XVI wieku. W drugiej kondygnacji Chrystus i dwunastu apostołów, w najniższej zaś obrazy, malowane na miedzi; św. Jan Ewangelista z widokiem cerkwi Supraślskiej o dawnym zakończeniu jej wieżyc, Chrystus i Zwiastowanie N. M. P. Obrazy te, mimo odnowienia, zachowały stary swój charakter. Rokokowe stalle, chór i kazalnica charakteryzują pierwszą połowę XVIII wieku.

Na ścianie pod chórem wiszą dwa naturalnej wielkości portrety fundatorów klasztoru: metropolity Józefa Sołtana i wojewody Aleksandra Chodkiewicza.

W ołtarzach bocznych, przy których odprawiano nabożeństwa łacińskiego obrządku, widzimy również stare malowidła. Szczególniej, nie tylko jako dzieło sztuki średniowiecznej, lecz i jako wyraz wiary i nadziei, oraz łączności pokoleń tutejszego ludu ze światem wyższych mocy, zatrzymuje naszą uwagę obraz Matki Boskiej Supraślskiej (Odigitrii), jako cudami słynącej, czczony w tych stronach, nie tylko przez prawosławnych i katolików, lecz nawet przez ewangelików. Obraz ten jest jakoby zmienioną nieco kopią M. B. Smoleńskiej, ofiarowaną klasztorowi przez Wasilisę Jarosławównę, ks. Pińską, żonę Aleksandra Chodkiewicza około roku 1520.

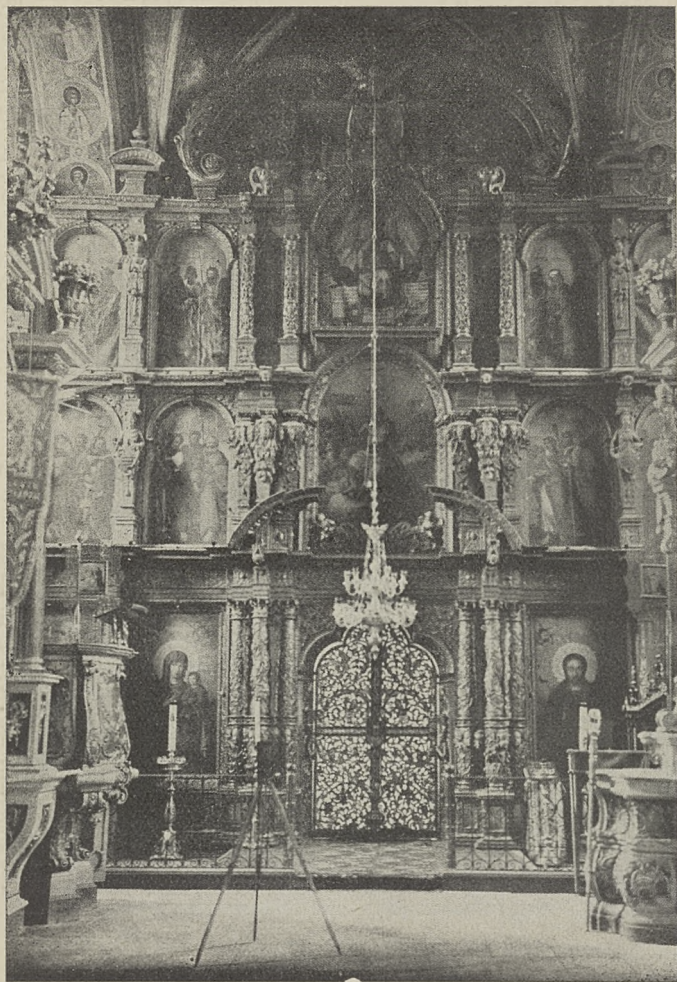
Najciekawsze jednak i najcenniejsze, jako bardzo rzadkie w Polsce dzieło sztuki wschodniej, są freski, którymi średniowieczny nieznany artysta ozdobił ściany, filary, sklepienia i wnętrze kopuły. Styl XV wieku. Patrzą na nas z poza mgły oddalenia



Ryc. 169.

Supraśl. Cerkiew bazylijska.

Fot. A. Szweniber.



Ryc. 170.

Supraśl. Carskie wrota.

w czasie bizantyjscy święci w złotych otokach, wychudzeni ascezą, cierpiący nad „pokuszeniem wsiho mira”, sceny biblijne, duchem średniowiecza pojęte, prymitywy artystycznie traktowane w rodzaju tych, jakie dzisiejsi malarze chętnie, lecz rzadko udolnie, w obrazach swych interpretują, usiłując wytworzyć „nastrój”. Tu, z pobludłych ścian cerkwi, przemawia do nas duch czasu onego rdzennym, nie fałszowanym urokiem bezpośredniości.

Ciekawe te freski zostały nieco uszkodzone wapnem, którym wybielił świątynię, miłujący koszarową czystość ihumen (Kurganowicz w 1851 r.). W kilkadziesiąt lat potem znalazł się mądrzejszy archimandryta (Dałmatow w 1887 r.) wapno zmył i... chciał na nowo świątynię według dawnych wzorów malować—szczęściem, pieniędzy mu brakło...

Część gmachów klasztornych zajmują obecni właściciele majątku Supraśla, w pozostałej zaś części mieści się szkoła rolnicza. W ogrodzie przyległym

do klasztoru, na miejscu nieistniejącej już najpierwszej cerkwi Joana Bogosława, mieszczą się katakumby ze zwłokami zakonników. Nad smutnym tym przybytkiem wyryto po rosyjsku (w 1886 r.) na kamiennej płycie:

„Tym z nich, którzy byli w odłączeniu od prawdziwej Twojej cerkwi—Przebacz im ten grzech. Amen”.

W podziemiach wielkiej cerkwi spoczywają zwłoki kolatorów, archimandrytów i wielkich dobrodziei klasztoru, na cmentarzu zaś, położonym w pewnym oddaleniu od cerkwi, grześć się kazali po trudach żywota przedstawiciele rodów znanych w całej Rzeczypospolitej, cerkwi unickiej gorliwi wyznawcy. Tu na wieczny spoczynek składano doczesne szczątki kniaziów i szlachty: Druckich-Gorskich, Tryznów, Jarosławiczów-Pińskich, Ostrogskich, Olelkowiczów, Sanguszków, Siecheniów, Sołtanów, Wołowiczów, Połubińskich, Wiszniewieckich, Kurczów, Mieleszków, Chaleckich, Puzynów, Gornostaj, Żabów, Massalskich, Kroszyńskich, Bohotowinów, Diagiłłow, Połońskich, Kołłątajów, Juszkwiczów, Czapliców i innych.

Fakt powyższy dowodzi, jaką sławą promieniował i jak wielką popularnością cieszył się przez lat czterysta we wschodnich województwach Rzeczypospolitej klasztor OO. Bazyljanów w Supraślu.

Czas więc zajrzeć choć po-
bieżnie do historii tego mona-
steru, bogatej w ciekawe szcze-
góły.

Aleksander Chodkiewicz,
marsz. W. Ks. Litewskiego, póź-
niej wojewoda Nowogródzki, pan
wielce hojny i gorliwy „błaho-
cześciwej” wiary greckiej wyzna-
wca, sprowadził w 1498 r. z Ki-
jowskiej Pieczerskiej Ławry (nie-
którzy twierdzą, że z góry Athos)
monachów i osadził ich począt-
kowo w Gródku u źródeł rzeki
Supraśli. Lecz wkrótce inny po-
mysł pańska fantazja zrodziła.
W Gródku — zamek obronny
i świecki dwór, a kędy ma być
pustelniczy klasztor, niech Bóg
wskaże. Średniowiecznym zwy-
czajem krzyż na wodę puszczo-
no. Przystanął przy wysepce,
oblanej dwoma dopływami rzeki
Supraśli (dziś po nich tylko za-
głębienia gruntu zostały), w pu-
szczy błudowskiej i tam w roku
1500 poczęto murowany mona-
ster z cerkwią obronną wznosić.
(Z początku zbudowano z prus-
kiego muru cerkiew Jana Ewan-
gelisty dziś nieistniejącą).



Ryc. 171.

Supraśl. Carskie wrota.

Rozmach miał pański i trzos nie byle jaki imci pan marszałek, bo już w 1509 roku
wspaniała świątynia z obrobnemi basztami wzniesiona, a w dwa lata później uroczyscie
poświęcona została ku czci *Preczystoj Bohomateri czestnaho Jeja Błachowieszczenia*.

Aleksander Chodkiewicz pozostawał pod duchowym wpływem władzyki smoleńskiej,
Józefa Sołtana, później kijowskiego, halickiego i całej Rusi metropolity, uważanego
przez monachów nieomal współrzędnie za kolatora klasztoru. Kolatorstwo to znalazło
bardzo realny wyraz w hojnym obdarowaniu klasztoru przez Chodkiewicza — ogromną
połacią puszczy Błudowskiej (dzisiejszy majątek Supraśl), miasteczkami Choroszczą
i wsiami Chworostowo i Pużyce na Polesiu, oraz przez Sołtana — wsiami: Władycze, To-
pielica, Baciuty i Pyszczewo nad Narwią. Akty nadawcze króla Aleksandra (1504 r.)
i króla Zygmunta I-go (1509 r.) po białorusku pisane, uroczystym wstępem opatrzone:
„wiadomo czynimy tym naszym listem, kto na niego spojrzy, abo czytać, abo słuchać
będzie, żyjącym i potomnym, komu wiedzieć trzeba...”, potwierdzały na wieczne czasy
prawo klasztoru do posiadania i korzystania „z ziemi, młynów i lasów, bobrowych go-
nów i żereni, do łowów zwierza i ptactwa, do jezior i miodu, do groszowych i kunich
(w skórkach) opłat i podatków...”

Dokumenty oryginalne klasztor utrzymał, majątki — przemoc zabrała.

Fundatorowi i kolatorowi przysługiwało prawo narzucania zakonnikom pewnych rygorów. Nie omieszkął korzystać z tego Aleksander Chodkiewicz i zalecając braciom przestrzeganie reguły św. Bazylego Wielkiego, wydał swoje przepisy (1510 r.), między którymi znajdujemy surowy zakaz, w dzisiejszym języku zwany „prohibicją”.

Zakaz ten brzmi w dosłownem tłumaczeniu tak: „bez picia upajającego żyć im (monachom). Miodu i piwa w klasztorze tym nie pić i nie trzymać, a któryby ihumen zechciał jednak trzymać, tego mocni wszyscy pospołu wyrzucić won”. Powtarzając w innym miejscu obszerniej to samo, dodaje: „pić mają kwasy owocowe i słodowe bez chmielu. Także i w Pańskie święta i w święta wielkich świętych kwas miodowy dobry, bez chmielu, umiarkowanie mierz, a nie do upicia. Także i jeść mają: poniedziałek, środa i piątek suche jadło po dziewiątej godzinie, we wtorek dwa razy bez masła, a w czwartek z masłem, w święta zaś stosownie do bożych ustaw”.

Kronikarz nazywa przepisy te bardzo surowymi, gdyż „nawet prawa ojców starożytnych pozwalają, gwoździ trudom dla chwały bożej podjętym, dawać braciom nie tylko piwo lub miód, lecz nawet wino”.

Nic więc dziwnego, że surowy rygor, a zwłaszcza brak owego „chmielu” wywołał ucieczkę niektórych mnichów z powrotem do Pieczerskiej Ławry.

Tempora mutantur... gdyby ci czerńcy byli wielowieczni i czasów ogólnego dosytu doczekali, nie uciekliby pewnie z Supraśla, albowiem na skutek polecenia metropolity Żochowskiego i kolatora Jerzego Karola Chodkiewicza, obożnego W. Ks. Lit. (1687 r.), monachom poczęto wydawać dziennie, na każdego: po 1½ garnca piwa (zapewne już nie bez chmielu, p. a.), w każdy czwartek i święto po kwarcie miodu, a raz na tydzień dla pokrzepienia zdrowia po kwarcie anyżówki...

Objektywizm historyczny nakazuje nam jednak patrzeć wyrozumiałym wzrokiem na ów środek, tak samo „krzepiący zdrowie” w mniemaniu współczesnych, jak w naszym krzepią go skoncentrowane odżywki, witaminy lub kuracja arsenikowa. Pomijając tę drobną kwestję pokrzepienia fizycznego, należy oddać sprawiedliwość i wielkie uznanie pełnej poświęcenia pracy zakonników. W ciągu ośmiu lat wśród głuchej puszczy przy prymitywnych środkach zbudowano monumentalną świątynię, a następnie obszerny muryrowany klasztor.

Niespożytej energii człowiekiem musiał być pierwszy ihumen tutejszy O. Pafnucy Siecheń. Pierwotni zakonnicy monasteru stali się pionierami osiedli dzikich okolic, a ich późniejsi następcy pionierami oświaty wśród Białorusinów.

Dobłą i złą dolę przeżywało tutejsze zgromadzenie OO. Bazylianów. Były lata w plony i kłęski obfite. Archiwa monasterskie przechowywały list Hetmana Wiel. Lit. Grzegorza s. Aleksandra Chodkiewicza, datowany w Zabłudowie 1 marca 1572 r.¹⁾, w którym kolator klasztoru mówi, iż czynszu z dóbr swych nie odbiera, bo ogólny głód, płacz i ryk. Ludzi swych żywić musi, aby z głodu nie pomarli, zamiast więc 200 kop groszy ledwie 20 kop posłać może, na resztę kwit wydając.

W tym samym roku za głodem szła morowa zaraza. Do Supraśla ściągnęło moc szlachty z dalszych i bliższych okolic. Czarna śmierć kośćbę okrutną poczęła i braci zakonnej nie szczędząc. Wymarli wszyscy bracia w liczbie dwudziestu sześciu wraz ze swym archimandrytą Georgim.

¹⁾ Archimandrit Nikołaj Dałmatow. Supraleskij Błagowieszczenskij monastyr. St. Petersburg Sino-dalnaja tipografija 1892 r.

Z książki tej i innych źródeł rosyjskich, oraz naszego „Słownika Geograficznego” i wiadomości zebranych na miejscu w 1929 r. czerpałem materiał historyczny do niniejszego artykułu. (Przyp. aut.).

W roku 1601 za rządów metropolity wileńskiego, Ignacego Pocieja, Bazyłjanie tu-tejsi przyłączają się do unji, a na opatów Supraślskiego klasztoru powołani zostają tacy dygnitarze kościelni, jak: arcyb. połocki Kolenda, metrop. Cyprjan Żochowski lub metrop. Leon Kiszka. Ten ostatni zakłada fabrykę papieru i rozszerza istniejącą już drukarnię.

Wschodnie ziemie Rzeczypospolitej (i 10 tysięcy unickich cerkwi) przez dwieście lat (XVII i XVIII w.) zaopatrują się tutaj nie tylko w duchowne lecz i świeckie książki, drukowane obficie przez Bazyłjanów w językach: cerkiewno-słowiańskim, polskim i łacińskim. Między innymi w r. 1743 wydano całkowitą biblię słowiańską.

Biblioteka, istniejąca od czasu założenia klasztoru, gromadziła coraz więcej dzieł i starych rękopisów. Do najcenniejszych i najrzadszych u nas należał tak zwany „rękopis Suprański” z XI w., ciekawy zabytek języka starosłowiańskiego, obejmujący żywoty świętych na miesiąc marzec, oraz mowy św. Jana Złotoustego. Ozdobą tej biblioteki były również oryginalne dokumenty i akty nadawcze królów polskich. Część książek i rękopisów przewieziono do archiwum prawosławnej archidiecezji w Wilnie w r. 1876, resztę wywieziono w 1920 r. (już po odparciu bolszewików) do Białegostoku i tam z powodu braku opieki książki rozproszone zostały wśród niepowołanych. Strata doprawdy bolesna!

Czasy porozbiorowe są epoką zmierzchu dla klasztoru: konfiskata dóbr, upadek drukarni i piarni, narzucenie prawosławia.

Rząd rosyjski na razie dość ostrożnie poczynił ze zmuszaniem duchowieństwa unickiego do przejścia na prawosławie, zwłaszcza w tak wybitnym środowisku jak klasztor w Supraślu. Drażliwe zadanie ułatwili smutnej pamięci metropolita Józef Siemaszko i ostatni supraślski opat Nikodem Marcinkowski. W roku 1839 zmuszono zakonników do przyjęcia prawosławia.

Bolesne to były chwile dla tutejszego ludu przywiązanego do unji i kościoła katolickiego. Przed zdjęciem organów i bocznych łacińskich ołtarzy tłumy schodziły się do cerkwi dzień i noc otwartej. Przez kilkanaście dni i nocy bez przerwy grano na organach i śpiewano a lud płakał i krzyżem leżał.

Zakonników unickich „nawrócono” gwałtem utożsamiając obrządek grecko-unicki z właściwościami prawosławia, stosowano podstępnie zamaskowane formy przejściowe, jak np. tradycyjnie obchodzoną procesję Bożego Ciała ogłoszono procesją ku upamiętnieniu przejścia na prawosławie! Lud w urzędowych dokumentach przepisano wbrew woli na prawosławie i postawiono wobec faktu dokonanego.

Mimo, że już lat 90 minęło od owych bolesnych czasów, jednak żywe tradycje unji przechowały się wśród tutejszego ludu.

Bazyłjańska cerkiew znajduje się obecnie pod bezpośrednią moralną opieką proboszcza tutejszej rzymsko-katolickiej parafji, dzięki czemu na razie ochronione zostały cenne zabytki przeszłości.

Lecz jest to tylko prowizorium—zasadnicze zaś rozwiązanie sprawy opieki nad monasterem bazyłjańskim może nastąpić tylko drogą ponownego osadzenia w tym klasztorze OO. Bazyłjanów, jako propagatorów unji i wykonawców tych religijnych obrzędów, dla których przystosowano wewnętrzne urządzenie i budowę świątyni (ikonostas). Sprawę tę, niestety, komplikują obecne stosunki polityczne.

Narazie więc czuwać nad świątynią w znaczeniu pozytywnej konserwacji musi państwowy urząd konserwatorski oraz Tow. Opieki nad zabytkami przeszłości.

Sezon wycieczek krajoznawczych daje nam możliwość odwiedzenia i zwiedzenia Supraśla. Jest to wycieczka dwudniowa, koszt niewielki, a korzyści duże, zarówno dla

miłośników zabytków i wspomnień historycznych, jak i dla tych, których pierś spragniona ożywczego balsamicznego powietrza z ulgą odetchnie w ogromnych, bujnych lasach (na prawym brzegu półtora km. w dół rz. Supraśli), a z wysokich wzgórz wzrok z rozkoszą obejmie wielki i śliczny szmat łąk szmaragdowych, pól falistych i lasów ginących w bezmiarach nieboskłonu.

STANISŁAW WARCHOLIK.

CZYNNIK GEOGRAFICZNY W DZIEJACH ŚLĄSKA.

Silny wpływ kultury ludzkości w obecnej dobie przysłonił czynnik, który wywierał zawsze najsilniej wpływ na kształtowanie się życia ludzkiego na danym obszarze. Czynnikiem tym bezsprzecznie potężnym był, jest i mimo wszystko pozostanie czynnik geograficzny, choć w obecnych warunkach jest on, jak wspomniałem, przysłonięty niejako potęgą kultury ludzkiej. Przykładem wyrazistym tych tez jest W. Brytania, której położenie geograficzne stworzyło tak specyficzne warunki życia społecznego, gospodarczego a z tem i politycznego, że trudno jest zaprzeczyć istnienia tych silnych wpływów czynnika geograficznego na życie narodu kraj ten zamieszkującego. Lecz i w innych krajach, o nie tak wyrazistej strukturze geograficznej, możemy znaleźć warunki, które na jego mieszkańców oddziałują w większej lub mniejszej mierze i stanowią czynnik wywierający swój wpływ na kształtowanie się życia gospodarczego, społecznego i niejednokrotnie politycznego. Znamiona tych czynników są niejednokrotnie prawie niedostrzegalne dla oka zwykłego śmiertelnika, lub raczej mieszkańcy danego kraju zwykle nie zdają sobie z tego sprawy, iż ulegają wpływom czynników zewnętrznych i do nich swoje warunki życiowe, swe zajęcia, a nawet tryb swego życia przystosowują. Obowiązkiem nauki jest jednak momenty takie wyszukiwać i to nietylko gwoli zadowolenia własnego czy zwężonych tylko celów nauki, ale właśnie w imię interesu ludzkości, w imię interesu danego kraju i narodu, gdyż, jeśli nie zrobią własni mieszkańcy tego kraju, może to zrobić kto inny, oczywiście dla swych celów i użytku. Przykładem najlepszym są kolonie zamorskie, które długi czas nie znały swych wartości, aż musieli je odkryć dopiero obcy, oczywiście dla swych celów.

Niekoniecznie cały kraj musi posiadać wybitne warunki geograficzne, któreby mu nadawały pewne piętno rozwojowe. Takich krajów mamy na kuli ziemskiej niewiele, ale mało jest natomiast takich krajów, któreby ich wogóle nie posiadały. Zdarza się najczęściej, że jakiś niewielki obszar kraju posiada właściwości geograficzne, nadające mu pewne piętno, a które powodują, że ta część kraju staje się ośrodkiem polityki gospodarczej i ekspansywnej całego państwa. Za takie krainy uznałbym w wiekach średnich północne Włochy, do dziś dnia Alzację i Lotaryngję, a na naszych ziemiach krainę śląską.

Kraina ta jednolitą ani geologicznie, ani geograficznie nie jest i to ma być rzekomo według niektórych uczonych wielkim minusem w znaczeniu jej wartości. Część północna jest niziną, środkowa wyżyną, południowa stanowi teren górzysty, której krajobraz naogół wyrównany, monotonny wykończony przez alluvia polodowcowe, na północy, zmienia się ku południowi w krainę niespokojną przez wydzwignięcie się trzeciorzędowych formacji Beskidów. Podłoże geologiczne niespokojne, ze śladami wulkanicznymi, licznymi uskokami, stwierdzającymi liczne i silne wstrząśnienia jakie kraj ten przechodził. Pod względem gospodarczym kraina ta do niedawna nie przedstawiała żadnej wartości. W dolnej części tereny przeważnie moczarowate, częściowo piaszczyste po-

kryte były jedynie lasami; część środkowo-zachodnia posiada glebę lessową; we wschodniej natomiast przeważają znów piaski alluvialne, podczas gdy południe ma nieurodzajny flisz karpacki.

Cały ten obszar mimo jednak swej różnorodności geologicznej i morfologicznej odwiecznie stanowił całość, a to wskutek, że się tak wyrażę, zwartych granic geograficznych.

Od południowego zachodu Sudety, od wschodu zrąb wyżu krakowsko-wieluńskiego, od południa Beskidy, a od północy moczarowaty rów Obry i Baryczy.

Jednak nie była to kraina zamknięta i w tem głównie leży ta przyczyna, która krainie tej wytknęła tę wielką rolę zarówno w jej dziejach, jak i dziejach ościennych państw. Kraina śląska posiadała liczne bramy, które stały się w jej życiu historycznymi wrotami i o jej losach decydowały, a nawet decydowały o losach całych państw.

W ten sposób Śląsk stawał się nie tylko przedmiotem walki, ale stawał się też mostem do dalszej ekspansji.

Dwie główne bramy leżały na północy: Jedna najszerza na północ od wzgórz wieluńskich prowadziła do środka Polski, t. zw. brama kaliska, druga łżycka w kierunku zachodnim prowadziła w głąb Niemiec. Nadto było szereg węższych przejść-przełęczy, jak na zachodzie południowym przełęcze sudeckie, na wschodzie przełom i rów tektoniczny krakowski, na południu brama morawska i przełęcz jabłonkowska.

Przejścia te odegrały wybitną rolę w dziejach Śląska i one to przyczyniły się do rozwinięcia tych wypadków politycznych i gospodarczych, jakie się w ciągu wieków tu zdarzyły.

Poniżej będziemy mieli sposobność właśnie pokrótce zestawić te momenty historyczne i wskazać jaką rolę odegrał w tych zdarzeniach dziejowych czynnik geograficzny.

Już w starożytnych czasach szedł tędy ruchliwy trakt handlowy, po którym przewijały się karawany kupców rzymskich daleko na północ, kierując się ku morzu tak, że projektowana kolej Śląsk — Gdynia dosłownie niemal się z niemi pokryje. A za karawanami kupieckimi podążała kultura rzymska i dlatego nie dziw, że w wykopaliskach śląskich znaleziono tyle pomników tej kultury, że ją nawet ochrzczono mianem rzymskiej, dla odróżnienia od innych na ziemiach polskich spotkanych.

Tą samą drogą dostały się tu pierwsze wpływy religii chrześcijańskiej, co potwierdzają niejasne ślady o biskupstwie śląskim jeszcze przed erą biskupstwa Chrobrego, a całkiem wyraźne o biskupstwie krakowskim, znajdujące się w pozostałej kapliczce baptysterjum św. Feliksa i Adaukta na Wawelu i jeszcze wyraźniejsze zawarte w liście Metodego do księcia Wiślan, wzywającego go do przyjęcia chrztu, co też się stać miało, ale nie drogą dobrowolną. Z tego jednak wniosek, że skoro droga z południa do Krakowa wiodła tylko przez Śląsk, a w takim razie twierdzić należy, że już wtepy Opolszczyzna wchodziła w skład państwa Wiślan, co potwierdzałby i ten fakt, że podczas jednej z wypraw Karola W. na państwo Wielkomorawskie poległ biorący udział w wyprawie wojennej książę Wiślan, który mógł się tu znajdować jako sprzymierzeniec czy lennik ziem zaodrzańskich, a więc i Śląska Opolskiego. Już snąc w zamierzonych czasach silny wpływ wywarły w życiu politycznym i kulturalnym Śląska dwie nieznaczące na pozór przełęcze południowe t. j. jabłonkowska i morawska.

Niemniejszą rolę odegrały i obszerne bramy północne. Północno-wschodnią bramą rychło przedostały się wpływy polskie i przypuszczać można, że Śląsk t. zw. Dolny był jedną z pierwszych dzielnic, która powiększyła rozwijające się państwo piastowskie. Ale i przez drugą bramę przedostawały się wpływy zachodnie, tem zgubniejsze, że po

zajęciu kraju Łużyczan i założeniu tam marchii północnej wpływy niemieckie zetknęły się bezpośrednio.

Odtąd Śląsk będzie przedmurzem Polski przed zalewem germanizacyjnym i zaszczytnie spełniać będzie rolę tę przez dziesiątki lat, a na naturalnych przeszkodach, jak nieprzebranych bagnach i nieprzebranych lasach łamać się będą zbrojne hufce cesarskie. Wystarczy przeglądnąć tylko kroniki Tietmara i in., aby sobie dokładnie zdać sprawę, czem był Śląsk podówczas dla Polski. Nie dziw zatem, że pierwsi władcy Polski dobrze zdawali sobie sprawę z wartości geograficznych ziemi śląskiej i nie tylko dbali o jej rozwój przez zakładanie grodów, ale przede wszystkim chodziło im o utrzymanie kraju tego w swych rękach. Prof. Semkowicz w swej pracy „Podstawy geograficzne Polski Chrobrego” daje wyraźne na to dowody, a fakt przesunięcia granic poza Łabę wystarczająco to potwierdza. Ale i ostatni z walecznych Bolesławów, dzieląc swój kraj nie przypadkowo oddaje Śląsk najstarszemu z synów śląską dzielnicę, powiększa ją Opol-szczyzną, równocześnie oddając mu wielkorządztwo państwa.

Jak Śląsk był geograficznie zwrócony ku Polsce znów jeden moment godny uwagi:

W chwili największego upadku dzielnicowego Polski kilkakrotnie ze Śląska wychodzi idea zjednoczenia państwa, czy to za Henryka I, czy II, czy wreszcie nawet za Probusa, a tylko nie dość doceniający historycy nasi, idąc za głosem historyków niemieckich, uczynili z nich zwyczajnych awangardzistów ekspansji niemieckiej.

Ale równocześnie odbywał się inny proces dziejowy, któremu zbyt łatwo poddaliśmy się, poddali się nasi książęta śląscy i nie śląscy, a który był może potrzebą chwili, który mógł być na razie korzystny, ale który pociągnął w dalszej swej konsekwencji utratę dzielnicy śląskiej. Nie docenili go dokładnie książęta, uwiedzeni chwilowymi korzyściami materialnymi, nie dojrawszy konsekwencji dalszych — politycznych.

Mam na myśli oczywiście kolonizacyjny ruch, jaki zaczął się powoli na naszych ziemiach już z końcem XII w., a przybrał niepokojące objawy w następnym wieku i doprowadził na Śląsku do walki, która jakkolwiek miała wszelkie cechy gospodarcze, faktycznie jednak podłoże jej było polityczne. Jeden stan może najbardziej światły zorjentował się rychło i stawiał zacięty opór. Był to stan duchowny. Niemcy usiłują walkę tę sprowadzić do zwykłej walki natury materialnej, jednak za dużo dowodów mamy na to, że duchowieństwo polskie na Śląsku broniąc swych praw i przywilejów kościoła, stawiało na gruncie praw i przywilejów polskich.

Jednak w tej akcji kolonizacyjnej należy zwrócić uwagę na jeden bardzo charakterystyczny moment: koloniści niemieccy przybywali na Śląsk jeszcze wtedy, gdy dzielnica ta była połączona z Polską, jeśli nie jednolitą władzą królewską, to w każdym razie wspólnością dynastyczną. Stąd też i książęta dzielnicowi uważali się za władców częściowych ziem polskich, a i ludność łączyła wspólność pochodzenia, mowy, oraz kościelna. Z chwilą jednak, gdy ta łączność została w XIV w. zerwana, zerwały się i drogi handlowe Śląska z Polską i rozwój gospodarczy Śląska został zatamowany. I ci sami mieszkańcy Wrocławia, którzy w okresie ekspansji luksemburskiej wszelkimi siłami dążyli do oderwania Śląska, a następnie zgębienia jakichkolwiek wpływów polskich na Śląsku, obecnie śłać będą poselstwo za poselstwem do Karola IV z prośbą o interwencję u Kazimierza W. celem otwarcia granicy celnej z Polską, gdyż handel ich na tem cierpi. Tak żywy, a tak wyrazisty to dowód, jak silnie geograficznie zespolony jest Śląsk z Polską, przez tę szeroką, niespostrzeżenie wnikającą bramę kaliską i dogodną bramę krakowską, której przejście stanowi cała faktycznie wyżyna śląska nie pod względem geologicznym, ale układu morfologicznego z ziemią krakowską. Fakt ten warto zapamiętać, gdyż i w nowszych czasach moment ten powtórzy się raz jeszcze, nie mniej wydatnie. Mimo to jednak Śląsk

odpadł od Polski po wiekowych zmaganiach się z Czechami, którzy wdzierali się tu od południowego zachodu przez wyłomy sudeckie, czy też bramę morawską. Faktem jest, że dla nich Śląsk nie był sam dla siebie celem, lecz tylko środkiem do dalszej ekspansji imperjalistycznej; wystarczy wspomnieć tylko zakusy ks. Brzetysława, czy wreszcie przyobleczone w realne kształty plany Wacława, lub wreszcie zaborcze zapędy nowej dynastji na tronie czeskim: Luksemburgów. Naodwrot trzeba zauważyć, że również posiadanie Śląska pobudzało i naszych władców w kierunku opanowania Czech, jakkolwiek był to jedyny sporadyczny wypadek za Chrobrego. Śląsk spełniał zatem rolę pomostu i posiadanie jego decydowało formalnie o mocarstwowem stanowisku danego państwa w środkowej Europie. Rola jego polityczna jest tu zupełnie widoczna, a gdy dołączymy wyżej wspomniane momenty natury handlowej, przyjdziemy do przekonania, że Śląsk z uwagi na swą, na początku opisaną, strukturę geograficzną, dzięki swym licznym we wszystkich kierunkach przejściom, leży na wielkiej krzyżownicy głównych dróg nie tylko handlowych, ale i politycznych oraz strategicznych. Wtem leży jego wielkie znaczenie i doniosłość jego geograficzna.

Dosadnym przykładem wartości politycznych Śląska niech pozostanie fakt, że z chwilą wycofania się Polski z tego tak ważnego terenu geograficznego, Polska wycofuje się równocześnie z życia politycznego Europy środkowej, przesuwa swą politykę na wschód, a po niej rolę obejmują Luksemburgowie, a następnie Habsburgowie.

Ale warto znów zwrócić uwagę na jeden moment w życiu Śląska. Coprawda posiadanie Śląska obu tym dynastjom przyniosło zapewnienie potęgi w Europie środkowej, jednak dla samego Śląska nie przysporzyło to żadnych korzyści, a nawet przeciwnie naraziło go na straty natury gospodarczej. Ta wielka krzyżownica dróg straciła dwa główne ramiona, jedno na wschód, drugie na południe. Południowe ramię odpadło wskutek zatracenia przez Habsburgów Węgier na rzecz Turków, wschodnie ziemie nie tylko wskutek zerwania łączności politycznej z Polską, ale i dlatego, że ta odzyskawszy drogę handlową do morza, przeniosła dogodniejszą łącznicę zachodu ze wschodem z Gdańska ku południowemu wschodowi. Ucierpiał na tem Kraków, ale ucierpiał i Wrocław, a za tem i cały Śląsk.

Bezplanowa i bez głębszych motywów prowadzona polityka Habsburgów nie tylko nie starała się wykorzystać posiadania tak ważnej krainy pod względem politycznym (jedynym widomym objawem były wyłącznie kilkakrotne, zresztą nieudane, kandydatury Habsburgów do tronu polskiego), ale też i pod względem gospodarczym zaniedbywano ten kraj, będący jednak okiem w głowie korony Bolesławów. Dopiero w XVIII w. rozwijająca się potęga pruska Hohenzollernów zwróciła uwagę na rolę geograficzną Śląska. Bo nie można przypuszczać, że myśl Fryderyka II, w opanowaniu Śląska wylęła się jedynie tylko na skutek niejasnych mrzonek Wettinów, pragnących tron Polski opanować dziedzicznie i przez połączenie bezpośrednio Saksonji z Polską poprzez Śląsk stworzyć nową potęgę środkowo-europejską. Zresztą byłby to niemniej nowy potwierdzający dowód naszych tez, co do geograficznej ważności Śląska w kształtowaniu się losów Europy środkowej, a jeżeli zaznaczyłem pewne powątpiewania, to raczej z uwagi na postacie królów naszych z dynastji saskiej, mających bardzo nierównomierną linię polityki swej przez cały okres swych rządów w Polsce; z drugiej zaś strony stan psychiczny społeczeństwa naszego bynajmniej nie odpowiadał podówczas jakiejkolwiek idei o podobnych tendencjach. Raczej należałoby sądzić, że w tej kwestji Fryderyk II miał własne bardziej skrytykowane poglądy na sprawę Śląska, a towarzyszące momenty dały mu jedynie podstawę do ich rozwinięcia. Dla nas jest faktem niezaprzeczonym:

1. Że z chwilą opanowania Śląska przez Fryderyka II, Prusy stają się potęgą środkowo-europejską w miejsce może nie tylko pobitej Austrii, ile w miejsce Polski, zupełnie biernie przypatrującej się nie tylko jak obok ich ziem toczy się wojna o kraj, będący przecież ongiś jej własnością, ale jak podstawy operacyjne tej wojny rozciągnęły Prusy z pogwałceniem wszelkiej neutralności na jej ziemie, tworząc tam magazyny żywnościowe i amunicyjne, a co więcej rekrutując samowolnie z jej ziem żywność i rekruta. Prosta logika wskazywała, że jeśli Pomorze i Wielkopolska są potrzebne królowi pruskiemu podczas wojny o Śląsk, to niemniej potrzebne mu będą i podczas pokoju, jeśli ten kraj posiędzie.

2. Że w następstwie tego faktu Śląsk odegra znów rolę tego samego czynnika, jak ongiś w wiekach średnich, i jego posiadanie zadecyduje o ekspansji imperjalistycznej. Prusy wschodnie i brama kaliska miały teraz służyć jako drogi wypadowe w głąb Polski w czasie jej rozbiorów. W rozbiorach Polski spełniła się myśl fryderykowska—granica pruska przebiegała od Niemna przez Bug i Wisłę ku Pilicy, a wzdłuż jej brzegów ku Przemyślu i z jej biegiem do górnej Wisły na Śląsk. W ten sposób Śląsk i Prusy wschodnie jakby ramionami objęły ziemie polskie, złączyły się z niemi, ale niestety pod obcym berłem. Kongres wiedeński zmodyfikował granice Prus, ale jeśli część Wielkopolski mimo to pozostała przy Prusach, to stało się to tylko z uwagi na Śląsk. Wielkopolska miała być łącznikiem północnych i południowych prowincji królestwa pruskiego, a Śląsk i Prusy wschodnie miały nadal pozostać bramami wypadowymi na wschód. Tak też pojmował znaczenie Śląska właściwy twórca Niemiec—Bismarck, kiedy pisał w dniu 17 lutego 1863 r. do ambasadora niemieckiego w Londynie wobec zamierzonych interwencji w sprawie polskiej: „Wskrzeszenie niezależnego państwa polskiego pomiędzy Śląskiem a Prusami Wschodnimi przy konsekwentnej poządlliwości w stronę Poznania i niezbędnego dla samodzielnej Polski ujścia Wisły stanowiłoby ustawiczną groźbę dla Prus...” a dalej: „...roszczenia polskie rozszerzyłyby się wkrótce na Śląsk i Prusy Wschodnie...”

Można Bismarcka uważać za wielkiego męża stanu i polityka, ale przecież trzeba jedno stwierdzić, że człowiek ten nie był natchniony żadną nadziemską myślą przewidywania, lecz tylko dokładnie oceniał znaczenie geograficznych warunków Śląska.

Warunki geograficzne to silniejsze argumenty, niż najpiękniejsze zwroty dyplomatyczne. Bismarck przemawiał argumentami geograficznymi.

Wojna nie przyniosła rozwiązania sprawy śląskiej. Stworzono coś, co miało dać podstawy do jakiegoś *modus vivendi*, nie zdając sobie właśnie sprawy, że stworzono kość niezgody. Dwie drogi południowe zajęły Czechy, zachodnia tkwi daleko w dzierzawach niemieckich, kaliska jest przepołowiona, jedynie krakowska pozostaje w rękach polskich. Ile to stwarza komplikacji, ile nieporozumień w życiu politycznym, to wiemy z obrad genewskich, ile w życiu gospodarczym, a nawet codziennym, to zauważyć możemy w agencjach celnych i na posterunkach granicznych. Etnicznie sprawa ta nie przedstawia się tak źle jak pod względem politycznym. Żywiół polski sięga daleko poza granice polityczne, zbliża się ku bramie łużyckiej, w jego rękach znajduje się brama kaliska w całości, a silną kępą podchodzi w Zagłębiu Ostrawskim pod bramę morawską; przez ludność polską zamieszkała jest również przełęcz jabłonkowska.

Poprzednio już wspomnieliśmy, że rozwój gospodarczy Śląska zahamowany został w średniowieczu oddzieleniem kraju tego od Polski wskutek tego, że Śląsk został pozabawiony najważniejszych dróg komunikacyjnych w kierunku północnym i wschodnim. Od tego czasu trwa załamanie życia gospodarczego na Śląsku. Ubóstwo kraju i jego mieszkańców było wprost przysłowiowe, a liczne wojny i przemarsze wojsk, jakie się tu odbywały, niszczyły kraj jeszcze bardziej. Aż do czasu odkrycia tutaj węgla i jego użytecz-

ności kraj ten nie przedstawiał większej wartości gospodarczej, a nawet długi czas potem górnictwo i przemysł rozwijały się tu bardzo powoli i znalezione skarby ziemne nie wywołały żadnego zainteresowania. Dopiero po wojnach prusko-austriackiej i niemiecko-francuskiej, po skonsolidowaniu się Rzeszy niemieckiej rozwinął się tu żywszy ruch górniczy i przemysłowy. Mimo to zagłębienie to, w stosunku do innych centr przemysłu niemieckiego, było na szarym końcu, a jedynie podtrzymywała jego rozwój taniość tutejszego robotnika w stosunku do robotnika niemieckiego.

Dla naszych rozpatrywań byłoby nader ciekawe w jakim stosunku pozostawał eksport surowca i fabrykatów ze Śląska na wschód do eksportu zachodniego, jednak przypuszczać należy, że mimo niekorzystnego położenia nadgranicznego, ruch handlowy ciążył silnie ku wschodowi. Z chwilą przyłączenia części Śląska do Polski otwarły się z powrotem zamknięte od sześciu wieków bramy dróg handlowych—kaliska i krakowska, a o naturalnym związku z geograficznymi warunkami świadczy fakt, że mimo ciężkich przesileni gospodarczych rozwój górnictwa i przemysłu nie spadł, lecz stale się wznosi (wyjątek po strajku ang. lub obecnie), a wyrazem ważności tych na nowo restytuowanych dróg było zbudowanie w najgorszym czasie linii kolejowej Kalety—Podzamcze, oraz dążenie czynników miarodajnych do budowy kolei Częstochowa — Łódź — Gdynia.

Ze wszystkich poruszonych tu momentów politycznych, jak też i gospodarczych możemy jedno wnioskować, że Śląsk ma te specjalne warunki geograficzne, które silnie oddziałują nie tylko na jego rolę polityczną i gospodarczą, ale oddziałują i na sąsiednie państwa, a szczególnie na Polskę, z którą łączy się Śląsk dwiema ważnymi arteriami komunikacyjnymi a która łączy się nie tylko geograficznie, ale gospodarczo i politycznie. Nie mając zamiaru wyczerpywać tematu, chciałem tylko zwrócić uwagę na ten tak ważny problem, gdyż mniemam, iż im większe zainteresowanie wywołane zostanie tym problemem, tem w prawdziwszym świetle stanie problem śląski do spraw polskich i tembardziej zrozumiałą będzie i rzeczową nasza polityka w tej dzielnicy, z którą złączyły nas tak silne warunki naturalne, że wieki nawet nie potrafiły zatrzeć śladów tej łączności i wspólności.

WANDA REWIŃSKA.

W R O C Ł A W.

Wrocław jest jednym z największych miast handlowych, które wyrosły w okresie piastowskim na zachodniej rubieży etnicznego obszaru polskiego. Położony na terenie bagnistym i pokrytym gęstymi lasami, dopiero na przełomie IX i X wieku ukazuje się na widowni dziejów jako zdecydowana indywidualność urbanistyczna.

Historja najstarszego Wrocławia jest nierozdzielnie związana z wielkim szlakiem komunikacyjnym, który ciągnął z zachodu i z południa-zachodu¹⁾ na wschód, oraz z szeregiem wysp ułatwiających przeprawę na Odrze. Stolicę śląskiej dzielnicy zaliczymy do rozległej rodziny miast, posiadającej swych przedstawicieli nieomal na wszystkich kontynentach, rodziny, którą Kurt Hassert²⁾ nazywa „Brückenstädte”.

Okolice Wrocławia pod względem budowy powierzchni są dość jednolite: rozległa, monotonna nizina, przecięta przez dolinę Odry. Rzeka, jak wykazały badania Enderwita³⁾,

¹⁾ Od strony przełęczy kładzkiej oraz od strony Misznej Łużyckiej i Budziszyna.

²⁾ K. Hassert: Die Städte, Lipsk 1907.

³⁾ F. Enderwitz: Das Werden und Wachsstum Breslaus, Beitz. zur Schles. Landesk. 1925 r.

wyzyskuje w swoim biegu szeroką, trzeciorzędową nieckę i w tem tektonicznie predystynowanym łożysku meandruje, rozczepiając się na szereg ramion.

Wyspy na Odrze nie należą do kategorii ławic ruchomych, tak często spotykanych na rzekach polskich, lecz są to wyższe punkty stałe w niecce trzeciorzędowej, których rzeka, wskutek małego spadku, nie mogła w swoim biegu pokonać. Ta trwała struktura wysp Wrocławskich oraz dominowanie dość znaczne nad przeciętnym poziomem wody, były wykorzystane przez człowieka dla celów osiedleńczych: na jednej z wysp powstaje ośrodek organizmu miejskiego Wrocławia, ośrodek przyszłej śląskiej stolicy.

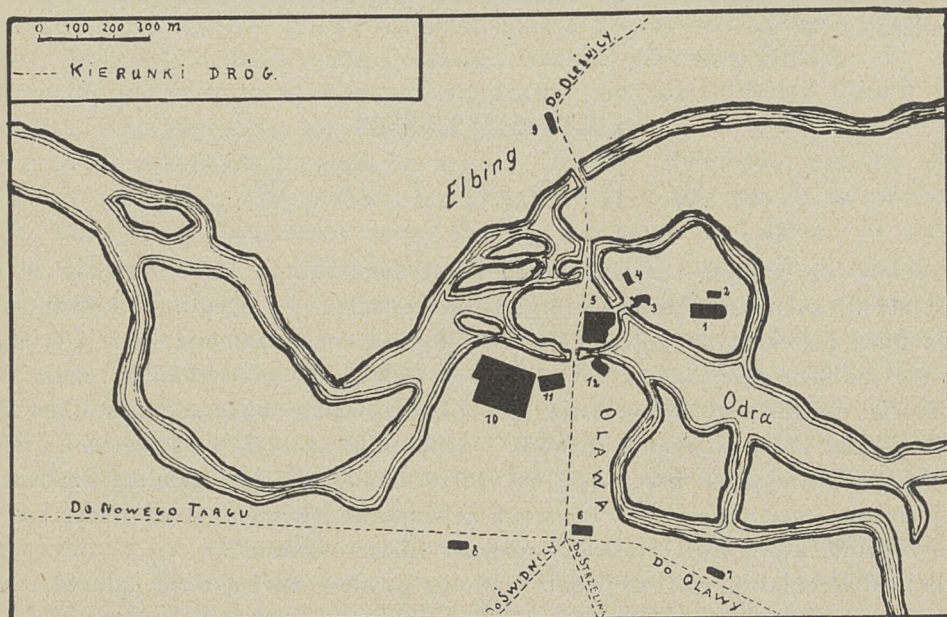
Stosunki osiedleńcze na Śląsku w okresie przedhistorycznym i wczesno-historycznym są dobrze znane na podstawie prac Hellmicha¹⁾ i Geschwendta²⁾. Jak wynika z rozpraw wymienionych autorów, człowiek w okresie przedhistorycznym unikał zabagnionej, często całkowicie zalewanej przez wody, doliny Odry, szukając dla siebie przestrzeni życiowej w obszarach cokolwiek oddalonych od rzeki. W okresie wczesno-historycznym, sytuacja się zmienia. Wskutek zmniejszającego się debitu wód, (zjawisko powszechnie znane w obszarach uległych zlodowaceniowi) koryto Odry ulega częściowemu wysuszeniu i człowiek powoli zbliża się do rzeki zachęcony urodzajnością gleb, pokrytych przez aluwja. Na mapce osiedli słowiańskich, podanej przez Enderwita, widzimy już wybitnie zagęszczoną ludność w dolinie Odry, oraz zaznaczone osiedle słowiańskie na jednej z większych wysp w pobliżu Wrocławia, a mianowicie na Dominsel³⁾, osiedle które jest zdaniem naszym prapoczątkiem piastowskiego grodu.

Uznanie wyspy Dominsel za ośrodek urbanistyczny najstarszego Wrocławia, zbud-

¹⁾ M. Hellmich: Die Besiedelung Schlesiens in vor- und frühgeschichtlicher zeit, Wrocław 1923 r.

²⁾ H. Geschwendt: Breslau in der Urzeit, Wrocław 1922 r.

³⁾ W przeciwieństwie do innych osiedli, położonych w dolinie Odry, osiedle na Dominsel istniało już w czasach przedhistorycznych, o czym świadczą znalezione w roku 1875-ym resztki palafitów.



Ryc. 173. Układ zabudowań we Wrocławiu w latach 1000—1241 wg. Enderwita.

1. Katedra, 2. kś. Św. Idziego, 3. kś. Św. Piotra i Pawła, 4. kś. Św. Marcina, 5. kś. Najśw. P. Marji „na piaskach”, 6. kś. Św. Wojciecha, 7. kś. Św. Maurycego, 8. kś. Marji Magdaleny, 9. Gospoda na Elbingu, 10. Klasztor Minorytów, 11. Dom kupców niemieckich, 12. Szpital pod wezwaniem Św. Trójcy.

wanego we wczesnym okresie piastowskim wysiłkiem twórczym kilku polskich pokoleń, spotyka się z wyraźnym sprzeciwem ze strony niemieckiej literatury naukowej. Przede wszystkim mamy tu na myśli rozprawę Enderwita¹⁾, który chciałby widzieć położenie najstarszego Wrocławia na lewym brzegu Odry, skierowanym w stronę Niemiec, na tym brzegu, gdzie znajdujemy pierwsze ślady osiedlenia się i działalności kolonistów niemieckich. W niniejszym krótkim artykule spróbujemy rozważyć argumenty wymienionego autora, posługując się częściowo metodą topologiczną: tam, gdzie brak źródeł historycznych utrudnia orientację, pozostaje jeszcze ziemia, z której odczytać możemy logikę działalności człowieka na zaraniu świata cywilizowanego.

Dla uniknięcia nieporozumień w dalszych rozważaniach, musimy na wstępie podkreślić, że dla nas pojęcie grodu²⁾ i pojęcie miasta identyfikuje się we wczesnym średniowieczu. Gród to nie tylko ośrodek władzy politycznej i militarnej, ale i główny konsument produkcji rzemieślniczej całego osiedla oraz towarów przywożonych z oddali. Pod wałami grodu koncentruje się ruch handlowy miasta, tak, jak za lat kilkaset będzie się koncentrował w rynku. Rozszczępienie osiedli miejskich na dwie części składowe, a mianowicie na gród i na miasto właściwe, posiadające szeroki samorząd, następuje dopiero w XIII, XIV wieku. Emancypacja miast jest, zdaniem Schuchhardta³⁾, rezultatem upadku prawa lennego wieku w Europie.

Jednym z argumentów wysuniętych w literaturze niemieckiej przez Enderwita przeciwko położeniu najstarszego Wrocławia na wyspach, jest fakt założenia dopiero w połowie XII wieku pierwszego kościoła na wyspie Sandinsel pod wezwaniem Najśw. Panny Marii „na piaskach”. Zarówno późne powstanie kościoła, jak i dodatek „na piaskach”, wskazywałyby, że obszar wymienionej wyspy do połowy XII wieku był bezludny. Słuszne to skądinąd spostrzeżenie Enderwita jest bez znaczenia dla historii najstarszego Wrocławia, gdyż nie wyspa Sandinsel, ale przyległa Dominsel, była jego pierwotnym siedliskiem. Przyjrzyjmy się bliżej położeniu i charakterystyce wysp wrocławskich z punktu widzenia wymagań średniowiecznego miasta.

Wyspa Sandinsel oddzielona od lewego brzegu tylko wąziutkim strumieniem wody, od prawego otoczona szeregiem wysp drobniejszych, to tylko główna część składowa w nieprzerwanym pomoście wysp, łączącym obydwie wybrzeża w formie naturalnej przeprawy o pierwszorzędnym znaczeniu komunikacyjnym. Jej szczupłe rozmiary, nie przekraczające w najdłuższym miejscu 200 m., nie mogły wystarczyć na potrzeby osiedleńcze nawet wczesnohistorycznego miasta. Wyspa Dominsel, jak to widzimy na rysunku (mapka), położona zaledwie w oddaleniu kilkudziesięciu metrów od głównej przeprawy, nieomal dwukrotnie przewyższa rozmiarami wyspę Sandinsel. Obok większych rozmiarów, Dominsel posiada najlepsze położenie obronne w grupie wysp Wrocławskich, ze względu na zasłonięcie od strony lewego brzegu nieomal całą szerokością koryta Odry. Wielkie walory obronne wyspy Dominsel wyraźnie wystąpiły podczas inwazji tatarskiej (1241 r.), kiedy obydwie brzegi padły ofiarą nieprzyjaciela i tylko najstarszy ośrodek Wrocławia, Dominsel, potrafił się uchronić przed barbarzyńskim zniszczeniem.

W życiu przedhistorycznego i wczesnohistorycznego zbiorowiska ludzkiego moment obronności był tak poważnym czynnikiem, że nawet drobniejsze jego odcienie musiały wpływać decydująco na lokalizację osiedli.

¹⁾ Cytowany powyżej.

²⁾ Mamy tu na myśli grody książęce (w literaturze niemieckiej Dynastenburg i Graffenburg), które na zachodzie zaczęły powstawać za czasów Karola Wielkiego, w Polsce zapewne znacznie później.

³⁾ C. Schuchhardt: *Die Burg im Wandel der Weltgeschichte*, Lipsk 1930 r.



Ryc. 173.

Katedra wrocławska.

Na wyspie Dominsel znajdujemy najstarszy zamek książęcy, o którego istnieniu pozwalają wzmianki historyczne z XI wieku. Kościół św. Marcina, dawna kaplica zamkowa, wskazuje na położenie zamku na zachodnim cyplu wyspy, bezpośrednio przy przeprawie. Znakomita sytuacja zamku umożliwiała całkowite panowanie nad przeprawą, która musiała być jednym z najpoważniejszych źródeł dochodu dla

piastowskiego Wrocławia. Obok zamku znajdujemy na wyspie Dominsel szereg kościołów (św. Piotr i Paweł, św. Marcin, św. Idzi) z katedrą pod wezwaniem św. Jana na czele, fundowaną w roku 1158 na miejscu starej drewnianej świątyni. Za istnieniem tej ostatniej przemawia notatka historyczna z roku 1000-go o mianowaniu pierwszego biskupa Wrocławskiego, w charakterze sufragana djecezji Gnieźnieńskiej. Wobec powszechnej koegzystencji obok siebie władzy duchownej i świeckiej we wczesnym średniowieczu, trudno sobie wyobrazić aby pierwsza katedra mogła istnieć gdzieś w oddaleniu od zamku, a więc poza nawiasem wyspy Dominsel. Obfitość kościołów na wyspie Dominsel wyraźnie wskazuje, że mamy tu do czynienia ze starym ośrodkiem urbanistycznym pierwszorzędного znaczenia.

Drugim argumentem, wysuniętym przez Enderwita, przeciwko położeniu najstarszego Wrocławia na wyspie, jest zbieżność dróg handlowych na lewym brzegu Odry.

W pobliżu kościoła św. Wojciecha przecinają się drogi z Olawy, Świdnicy, Strzelina i t. d., których kierunki do dziś dnia zostały utrwalone w ulicach Wrocławia. W oddaleniu 450 m. od wymienionego skrzyżowania, na lewym brzegu Odry, powstaje dom kupców niemieckich, któremu musiało towarzyszyć pierwsze targowisko. Moment skrzyżowania dróg chce uważać Enderwitz za konieczną przyczynę powstania najstarszego Wrocławia na lewym brzegu rzeki.

Nie będziemy tu negowali znaczenia zbieżności dróg handlowych w historii powstania zbiorowiska miejskiego, ale podobne skrzyżowanie przed przeprawą, jak na brzegu lewym, z łatwością możemy odtworzyć i na brzegu prawym, na Elbingu, gdzie odbywały się najstarsze we Wrocławiu jarmarki. Dominujący wpływ zbieżności dróg na lewym brzegu Odry zaczyna się poważnie zaznaczać dopiero w XII wieku, to jest w tym okresie czasu, kiedy od zachodu ciągną liczni kupcy i koloniści niemieccy, sprowadzeni przez Bolesława Wysokiego. Kościół św. Wojciecha powstaje dopiero w roku 1148-ym, więc przed tym terminem próżnobyśmy szukali na lewym brzegu rzeki jakiegoś zbiorowiska ludzkiego o większym znaczeniu.

Dom kupców niemieckich mylnie wiąże Enderwitz z ośrodkiem, który miał istnieć w pobliżu kościoła św. Wojciecha, gdyż wymieniony dom jest oddalony o 450 m. od kościoła, a więc na odległość, jak na stosunki miejskie wczesnego średniowiecza dość znaczną. Dom kupców niemieckich, wybudowany na samym wybrzeżu Odry, ciążył do

rzeki, która musiała być ważnym szlakiem komunikacyjnym, prowadzącym w kierunku bogatego Szczecina.

Zgodnie z logiką sytuacji najstarszego Wrocławia należałoby szukać pierwszego targowiska na wyspie Sandisel, przy kościele Najśw. P. Marji „na piaskach”. Nadanie gruntów wymienionej wyspy klasztorowi Augustynów spowodowało być może przesunięcie domu kupców niemieckich na lewy brzeg rzeki, gdzie szeroką strefą ciągnęły się grunty książęce, jak o tem świadczy dokument Henryka I o darowiznie terenów pod pierwszy szpital wrocławski (1214 r.).



Ryc. 17.4

Kościół N. M. P. „na piaskach”.

Na niekorzyść położenia pierwotnego ośrodka miejskiego Wrocławia na lewym brzegu rzeki, przy kościele św. Wojciecha, przemawia jeszcze jeden poważny argument, a mianowicie brak warunków obronnych. Nie wyobrażamy sobie wczesno-średniowiecznego miasta, położonego na otwartej przestrzeni nad rzeką, bez żadnego poważniejszego punktu oporu. Co prawda w literaturze niemieckiej jest szeroko popularyzowane twierdzenie, jakoby najstarszy zamek obronny Wrocławia miał leżeć między ramionami Olawy, a więc w pobliżu kościoła św. Wojciecha, twierdzenie to jednak wydaje się nam bardzo wątpliwe. Historia najstarszego Wrocławia jest przedewszystkiem związana z przeprawą na Odrze, natomiast zamek położony między ramionami Olawy musiałby być oddalony od przeprawy conajmniej o 430 m. Nie wyobrażamy sobie, aby z tej odległości zamek mógł mieć jakikolwiek wpływ na ruch handlowy na przeprawie i gwarantować mu osłonę i bezpieczeństwo. Osiedle słowiańskie położone nad Olawą, jeżeli istniało, musiało być jednym z licznych, drobnych skupień, jak: Gay, Parsowice, Sokolnice i t. d., których pełno dokoła najstarszego Wrocławia.

Reasumując nasze rozważania stwierdzamy raz jeszcze położenie pierwszego ośrodka miejskiego Wrocławia na wyspie Dominsel, gdyż w argumentach wysuniętych przez Enderwita, nie widzimy dostatecznej racji dla zmiany naszego stanowiska.

Na zakończenie chcielibyśmy podkreślić wielkie analogie jakie istniały pomiędzy najstarszym Wrocławiem i najstarszym Poznaniem. Tu i tam widzimy położenie na wyspie przy przeprawie oraz tradycje pierwszego zamku obok szeregu najstarszych kościołów, tu i tam następuje zanik starego ośrodka miejskiego, wskutek ograniczonej przez wodę przestrzeni życiowej i przeniesienie urbanistycznego punktu ciężkości na ląd stały, do sąsiedniego podgrodzia.



Z PIŚMIENNICTWA.

PAMIĘTNIK ŚWIĘTOKRZYSKI — 1930 — Redaktor Aleksander Patkowski. Kielce, 1931. Wydawnictwo Wydziału Wojewódzkiego w Kielcach i Sekcji Regionalistycznej Związku Nauczycielstwa Polskiego. Z zasiłkiem Funduszu Kultury Narodowej. Skład Główny: Tow. Wydawnicze (J. Mortkowicz) w Warszawie (Mazowiecka 12). Str. VIII + 440, ilustr. 219, tabl. 3. Zł. 30.

W piątą rocznicę śmierci Stefana Żeromskiego, ukazało się monumentalne wydawnictwo, poświęcone Jego stronom rodzinnym. Zainicjowane zostało podczas organizowanych od r. 1922 przez Związek Polskiego Nauczycielstwa Szkół Powszechnych w Sandomierzu kursów regionalnych, poświęconych przyrodzie i kulturze Sandomierszczyzny. Kursy te zostały powitane przez S. Żeromskiego z gorącym entuzjazmem. Dał temu wyraz w drukowanych na wstępie *Pamiętnika Świętokrzyskiego* listach. „Sandomierskie — pisał Żeromski — wyżyna między Koprzywnicą, Chobrzezanami, Klimontowem — to dla mnie ogród szczęścia, gdyż tam przeżyłem najmiłsze lata młodości”. Kiedy podczas wymienionych kursów i w związku ze *Snobizmem i postępem* zaczęła się kształtować ideologia i program regionalizmu polskiego, Żeromski wyznaje w liście do p. Heleny Romer-Ochenkowskiej: „przed laty napisałem był pracę — *Snobizm i postęp* — którą wielu poczytuje za inicjatywę prac regionalnych, które idą z wichrowawą siłą. Jeśli zaś pójdą w równie silnym zamachu w innych okolicach ojczyzny, mielibyśmy nową twórczą ideę”. Przedstawiony Mu pierwotny program *Pamiętnika Świętokrzyskiego* — przytacza w wymienionym liście i akceptuje projekt napisania artykułu na temat: *O domu dla artystów w Górach Świętokrzyskich*. W tym czasie powstaje *Puszcza Jodłowa*, lecz artykuł proponowany już nie został przez Żeromskiego napisany.

Ruch regionalistyczny wszczęty w stronach rodzinnych Żeromskiego. rozwijał się żywo i jego wyrazem jest omawiane wydawnictwo.

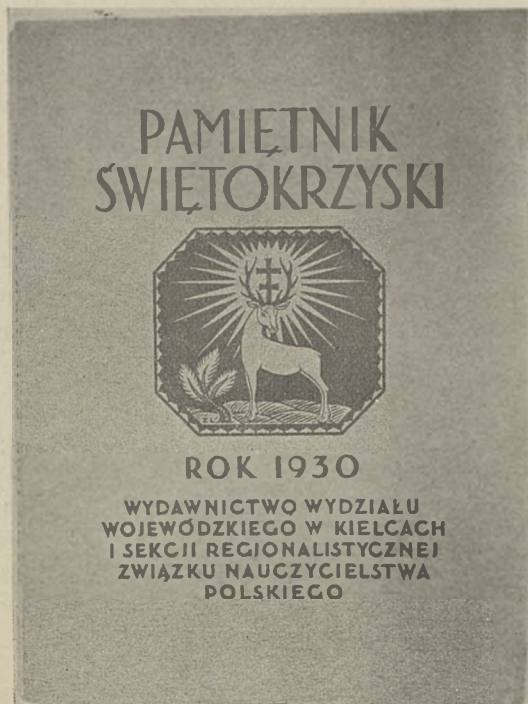
„Intencją tej książki, według przedmowy — jest hold dla ziemi, która wydała pierwszego wielkiego artystę — Jana Kochanowskiego, pierwszego sarmackiego piewce Świętokrzyszczyzny, Wespazjana Kochowskiego, gdzie najbogaciej rozsypała się myśl religijna naszej reformacji, dokąd Skarga ze względu na „klimat cieplejszy” jeździł ratować zdrowie, z której wyszedł praeceptor Poloniae, Stanisław Konarski i Adolf Dygasiński i cor cordium naszego pokolenia Stefan Żeromski”.

Pamiętnik Świętokrzyski, pod znakiem roku 1930, święci rocznice związane z terenem, w artykule Adryana Diwéky'ego *Św. Emeryk na Łysej Górze*, wojskiego zaś sandomierskiego, Jana Kochanowskiego, w artykule Stanisława Windakiewicza *Jan Kochanowski w Czarnolesie* i bogatej antologii *Poeci polscy o Kochanowskim*, gdzie została zebrana wiązanka holdów poetyckich od Mikołaja Reja do Juliana Ejsmonda włącznie.

Jubileusz setnej rocznicy powstania listopadowego znalazł wyraz w cyklu zebranych ze wspomnień i archiwów rodzinnych p. t. *Sandomierzanie w setną rocznicę*. Jest tutaj mowa o pośle na Sejm 1830/31 r. Cyprjanie Baczyńskim, kapitanach: Aleksym i Wacławie Gaszyńskich,

majorze Eustachym Grothusie, podpułkowniku Karolu Karskim, generale Tomaszu Konarskim, senatorze kasztelanie Ludwiku Łempickim i Jego „Soplicowie Sandomierskiem”, — Plancie, wreszcie o znanym krytyku emigracyjnym Stanisławie Ropelewskim. Wszystkie te wspomnienia, zaopatrzone są w nieznane portrety odnalezione w zbiorach rodzinnych.

Pamiętnik Świętokrzyski poświęca swoim poprzednikom parę artykułów, a więc Aleksandra Patkowskiego Tomasz Ujazdowski, wydawca „*Pamiętnika Sandomierskiego*” w latach 1829/30 i Marty Hubickiej *Pamiętniki Kieleckie 1870, 1871, 1874 i 1898*, następnie zaś daje



systematyczny przegląd zagadnień, dotyczących przyrody i kultury regionalnej.

Przedewszystkiem granice regionalne ustala Jan Czarnocki w artykule: *Granice Gór Świętokrzyskich oraz podział regionalny tego obszaru*, którego dopełnieniem są Stanisława Arnolda *Podziały administracyjne województwa sandomierskiego do końca XVIII wieku*. Osadnictwo dawne omawiają: Kazimierz Tymieniecki: *Początki Kielc w związku z pierwotnym osadnictwem Łysogór* i Marjan Friedberg: *Rozsiedlenie rodów rycerskich w województwie sandomierskim w wieku XV*. Obok dzisiejszej stolicy województwa, Kielc, których powstanie zostało przedstawione w artykule Kazimierza Tymienieckiego, dawnej stolicy województwa, Sandomierzowi, poświęcony został artykuł Jerzego Remera: *Sandomierz w litografiach Wyczółkowskiego*.

O stanie terenowych badań przyrodniczych piszą: Tadeusz Wiśniowski (geologja), Kazimierz Kaznowski (flora), Wacław Roszkowski (fauna): o stanie badań historycznych w przeglądzie literatury Adam Stebelski: *Opisy i monografie miast t. zw. rejonu świętokrzyskiego*; o stanie zaś badań i opieki w zakresie zabytków sztuki Tadeusz Szydłowski: *Badania i odkrycia w zakresie historii sztuki na terenie sandomiersko-kieleckim w latach ostatnich* oraz Jerzy Remer: *Opieka nad zabytkami sztuki, zarys historyczny, uwagi i postulaty*, z wielobarwną mapą, obrazującą rozmieszczenie stylów i rodzajów zabytków architektury na terenie województwa kieleckiego.

Historji nadto poświęcony został artykuł Stanisława Małachowskiego-Lempickiego: *Związki tajne w Świętokrzyskiem*, etnografia wydobyta z roczników *Gazety Radomskiej* bardzo cenna praca Hieronima Łopacińskiego *Okolice radomskie i sandomierskie w przysłówiach, wyrażeniach i piosenkach*, przyczynki miejscowego nauczycielstwa szkół powszechnych przedstawione przez Jerzego Cierniaka: *Tradycje sobótkowe w Świętokrzyskiem*, Edwarda Szylki *Śpiewki żniwarskie w okolicy Sandomierza*, Wandy Wołowcówny: *Sukmana chłopska ze Świętomarży*, Ferdynanda Potockiego: *Rybołówstwo w powiecie Sandomierskim* nadto b. bibliotekarza hr. Tarnowskich z Dzikowa Michała Marczała artykuł o obyczajach wielkanocnych p. t. *Turcy w Radomyślu nad Sanem*.

Z pracą nauczycielstwa wiążą się artykuły poświęcone historji szkolnictwa; A. P.: *Kartki z dziejów powszechnej szkoły męskiej w Sandomierzu* i tegoż *Echa powstania listopadowego w szkole wojewódzkiej kieleckiej*, obok zamieszczonych w kronice sprawozdań z działalności Okręgu Wojewódzkiego Związku Polskiego Naucz. Szkół Powsz., oraz założonych przez tą samą organizację instytucyj takich jak:

Uniwersytet Orkanowy w Szycach i Powszechny Uniwersytet Regionalny im. Konarskiego w Sandomierzu.

Artykuły poświęcone literaturze, stoją przedewszystkiem pod znakiem twórczości Stefana Żeromskiego: *O królewskim darze „Puszczy Jodłowej”* pisze Aleksander Janowski. Zasłużonemu krajoznawcy, który pierwszy zainicjował na szerszą skalę pracę badawczą i propagandową Gór Świętokrzyskich, dedykował swój poemat Żeromski „wyrazami braterskiej czci”. Janowski pierwszy jako autor *Wycieczek po kraju* kieruje w te strony ruch krajoznawczy. Píše też w kronice z humorem o tem jak powstały moje „wycieczki po kraju”. Obraz tego, co zdziałalo Polskie Towarzystwo Krajoznawcze na terenie województwa kieleckiego w latach 1906—1931, znajdzie czytelnik również w kronice *Pamiętnika*.

Z *puszczą Jodłową* wiążą się ogłoszone wraz z mapą sprawozdawcze *materiały do organizacji parku narodowego im. Stefana Żeromskiego w Górach Świętokrzyskich*.

W związku z *Popiołami* pozostają nieznanne szerszemu ogółowi, po raz pierwszy ogłoszone przez Emila Kipę „wspomnienia przeszłości” Ignacego Dominika Radziszewskiego, o których roli w powstaniu arcydzieła Żeromskiego wcieliśmy dotychczas nieco z krótkiej wzmianki w książce Stan. Piołun-Noyszewskiego p. t. *Stefan Żeromski. Dom, dzieciństwo i młodość*.

Nieco wiadomości związanych z bohaterem *Wspomnień Radziszewskiego* i *Popiołów* podaje notatka A. P.: *Ze stron rodzinnych Wincentego Reklewskiego*, z rokiem zaś 1809 w Sandomierzu pozostaje tegoż *Memoriał Franciszka Dutreppiego o stanie potrzeb miasta Sandomierza po roku 1809*.

Znany z *Popiołów* rektor Rafała Olbromskiego i Krzysia Cedry został przedstawiony na podstawie źródeł archiwalnych przez Aleksandra Patkowskiego w artykule *Michał Kubeszewski, rektor szkoły wydziałowej sandomierskiej w latach 1790—1830*. Po Żeromskim osobne miejsce zostało poświęcone Adolfowi Dygasińskiemu, o którym piszą córka i zięć znakomitego pisarza: Zofja i Władysław Wolertowie *Adolf Dygasiński (kartka z przeszłości)*, *Poeta Ponidzia, Drogi i bezdroża puścizny literackiej ś. p. Adolfa Dygasińskiego a teraźniejszość*.

Pamiętnik Świętokrzyski nie tylko daje obraz pracy dokonanej, lecz również nakreślić chce program na przyszłość i ułatwić organizację badawczą i twórczą wszystkim związanym zainteresowaniami i pochodzeniem ze Świętokrzyszczyną.

To też rozpoczyna systematyczną i pełną rejestrację bibliotek publicznych w Sandomierskim, Radomskim i Kieleckim (Jadwiga Filipkowska-Szemplińska i A. P.), zamieszcza krytyczny opis Adama Stebelskiego—archiwów

województwa kieleckiego i archiwum Kurozwęckiego w szczególności, podaje wiadomości (A. P.) o muzeach na terenie województwa kieleckiego.

Wychodząc z założenia, że biblioteki i muzea regionalne winny prowadzić bibliografię druków i materiałów archiwalnych, dotyczących swego regionu *Pamiętnik Świętokrzyski* zamieszcza artykuły Adama Stebelskiego o *źródłach do dziejów ziemi kieleckiej, radomskiej i sandomierskiej w Archiwum Głównem w Warszawie*, Aleksego Bachulskiego: *Archiwalja do historii województwa Kieleckiego w Archiwum Skarbowem*, Kazimierza Konarskiego *Sandmiriana w Archiwum Aktów Dawnych w Warszawie*.

Systematyczną bibliografię druków miejscowych rozpoczyna Michał Marczał, pisząc o *drukarzniach i drukach tarnobrzeskich*.

W przeglądzie literatury omówione zostały liczne i cenne prace miejscowego badacza, ks. Jana Wiśniewskiego (Mieczysław Niwiński), zwrócona została uwaga na bogatą literaturę pamiętnikarską, dotyczącą dziejów roku 1863 na terenie Świętokrzyszczyny (ks. Józef Rokoszyński), na specyficznie regionalną literaturę, nie spotykaną właściwie, gdzie indziej, jaką są pamiętniki włościan sandomierskich: Jana Słomki i Ferdynanda Kurasia, oraz na niezmiernie ważkie dla aktualnej pracy państwowej monografii społeczno-gospodarcze (Stanisław Ingłot).

Kończy całość wiadomość o związkach koleżeńskiejskiej przyjaźni (A. P.: *Koła Kielczan, Radomiaków i Sandomierzan*) i o rozwijającym się kulcie pieśni w Związku Stowarzyszeń Muzyczno-Spiewaczych Województwa Kieleckiego (Witold Kamiński).

Książka ta ma wedle słów *Snobizmu i postępu* wskazać, „jakiemi niewidzialnymi drogami, otworami tajemniczych porów wstępuje tęgie zdrowie w ciało ojczyzny”.

Przewodnik po Truskawcu i okolicach. Z 2 mapami. Część pierwsza. Nakładem Zarządu Zdrojowego w Truskawcu 1930 r. 8-o. Stron 24.

Przewodnik ten wydał Zarząd Zakładu Zdrojowego w Truskawcu z myślą ułatwienia, przedewszyst-

kiem swoim kuracjuszom, wycieczek w piękną lesistą okolicę Podkarpacia, w jakiej położony jest Truskawiec. W przewodniku podano szereg szlaków wycieczkowych bliższych i dalszych, bardzo dokładnie opisanych a obejmujących również, godne poznania Zagłębie naftowe Borysławskie i saliny stebnickie.

Korzystanie z „Przewodnika” ułatwiają dwie mapy, a mianowicie: „Mapa do Przewodnika po Truskawcu” w skali 1 : 25000, i „Szkic szlaków wycieczkowych w okolicy Truskawca” w skali 1 : 15000.

Wzbogacając naszą literaturę turystyczną „Przewodnik po Truskawcu i okolicach” czyni równocześnie radość dawno odczuwanej potrzebie w tym kierunku.

W. F.

Monografia lotniska Zawoi. Kraków MCMXXX. Nakładem Komisji klimatycznej w Zawoi, Stron 48. ilustracji 12.

Uroczą u stóp dominującej nad całem Podhalem Babiej Góry położoną wieś Zawoja, znane już lotnisko, doczekała się osobnej monografii.

Monografia ta, wydana nakładem miejscowej Komisji Klimatycznej, wyszła wprawdzie bezimiennie, ale jak można się domyślać autorem jej jest prezes wspomnianej Komisji p. Jerzy Moszyński.

Autor na wstępie opowiada o przeszłości tej okolicy, następnie przedstawia topograficznie położenie Zawoi i jej walory jako stacji klimatycznej i turystycznej, a wreszcie kreśli rozwój tego lotniska, który zaznaczył się zwłaszcza z chwilą, gdy Zawoja przeszła na własność Polskiej Akademji Umiejętności w Krakowie.

Uznana przed trzema laty urzędownie za stację klimatyczną, rozwija się Zawoja w dalszym ciągu z każdym rokiem i ma wszelkie dane ku temu, aby w niedługim czasie stać się głośną miejscowością lotniskową.

Omawiana monografia, napisana z widocznem ułomaniem Zawoi, lecz bez przesadnej reklamy niewątpliwie osiągnie zamierzony cel, t. j. zwróci uwagę ogółu na ten piękny zakątek górski, tak bardzo nadający się dla wypoczynku letniego.

W. F.

TREŚĆ: Stanisław Leszczycki: Walory turystyczne woj. Krakowskiego. — Jan Manugiewicz: „Ognisko Książackie”. — Aleksander Patkowski: Truskawiec i Muzeum im. Emmy Jaroszewej w Pomiarkach. — G. Styczkówna: Służew. — Kazimiera Zawistowicz: O niektórych zwyczajach wiosennych. — Jan Szczepkowski: Supraśl i bazylijański monaster. — Stanisław Warchołik: Czynniki geograficzne w dziejach Śląska. — Wanda Rewieńska: Wrocław. — Z piśmiennictwa.

Cena niniejszego zeszytu zł. 2.80.

Redakcja i Administracja w Warszawie, ul. Karowa 31, tel. 642-50.

Zeszyty № 11, 12, 13—14 redagował Jerzy Remer.

Redaktor: Dr. Konrad Górski.

Wydawca: Polskie Towarzystwo Krajoznawcze.

Redaktor przyjmuje: w Redakcji we środy od godz. 5-ej do 6-ej po południu; u siebie w domu (Al. 3 Maja 18 m. 24, tel. 729-22) we wtorki i czwartki od godz. 3 do 4.

Druk. Jan Świętoński i S-ka, Warszawa, Kopernika 34, Tel. 407-50.